№ 41. Warszawa, dnia 13 (1) Października 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

SYNDYKAT LITERACKI.

Przed otwarciem „pierwszego zjazdu polskich literatów i artystów" w Krakowie zabieraliśmy na tem miejscu dwukrotnie głos, podsuwając zgromadzonym kilka przedmiotów do narady i kilka potrzeb do uwzględnienia. Rzeczywiście ktoś tam jedną myśl naszą pod pseudonymem przedstawił i znaczną dla niej zgodę pozyskał; ale była to zaledwie odrobina życzeń i uchwał, które się z głów zebrania posypały. Nie mieliśmy nadziei, ażeby każda urodziła sokoła, ale spodziewaliśmy się, że gra kongresu będzie warta świecy, że przynajmniej koszta podróży literatów opłacą się jakimś dodatnim rezultatem. Jeżeli natychmiast po sejmie nie można było przesądzać jego postanowień, które dla okazania swej siły potrzebują czasu, to dziś, gdy już upłynął miesiąc, możemy o nich pomówić.

Pomijając w rachunku prac zjazdu serdeczne lub naiwne toasty (z ostatnich spamiętać warto: „za ideały kobiet" i „za kupujących *różne* wytwory prasy"), pomijając smaczne objady i wesołe wycieczki, najpoważniejszym (!) wyrazem długich rozpraw była myśl utworzenia... syndykatu literackiego. Myśl ta pokutuje już od lat wielu w szczupłem gronie dziennikarzów warszawskich i, jak się zdaje, ma następujący rodowód. Ten i ów, mierzący się sążniem a mierzony calem, zadraśnięty w czułą ambicyę i daremnie zszywający swą prutą przez złośliwców togę sławy, doszedł do przekonania, że jedynym ratunkiem dla niego i jego przyjaciół — *a więc* i dla całej literatury byłby trybunał, w którymby owi najbardziej zagrożeni rozstrzygali spory dziennikarskie, czyli strzegli tak zwanej „przyzwoitości." To jest rdzeń rzeczy, bo wszystko, co się mówi w projekcie o prawach autorskich, o ustosunkowaniu pracy do kapitału i tym podobnych wielkich rzeczach, służy jedynie za piękną łupinę dla robaczywego ziarna. Przekonywa o tem naprzód i odrazu albo zupełny brak u nas innych zatargów, albo też jawna sprzeczność słów z czynami samych projektodawców. Weźmy kwestyę największej wagi — stosunek pracowników pióra do nakładców. Z wyjątkiem bardzo nielicznych przykładów o żadnem wyzyskiwaniu pierwszych przez drugich niema mowy, gdyż chorujemy ciągle na niedostatek ludzi uzdolnionych do zawodu pisarskiego tak dalece, że siły bardzo mizernie opłacane są nad zasługę i miarę, gdzieindziej stosowaną. U nas dziennikarz, który szkół nie skończył i nie posiada żadnego wybitnego talentu, może zarobić więcej, niż nauczyciel gimnazyum lub inżenier oddziałowy na kolei. Zamożniejsze firmy wydawnicze drukują wszystko, co im przypłynie, redakcye do najważniejszych zadań posługują się ludźmi, niemającymi często dokładnego pojęcia o uprawianej niwie. Nierzadkim też jest widok literatów, którzy w jednej osobie łączą role: polityków, estetyków, historyków i pedagogów. Na co więc przyda się w tym względzie syndykat? A może osłoni prawa autorskie? O większem okradaniu się między sobą niemal nie słyszymy, co zaś do plagiatów z piśmiennictwa zagranicznego, to rzeczywiście wzrosły one do potwornych rozmiarów, ale właśnie najbardziej tam, gdzie się kołysze myśl ubezpieczenia własności literackiej. Artykuły polityczne, życiorysy, opowiadania, dowcipy — wszystko się u nas bierze z gazet obcych bez żadnej wzmianki o źródle. Elementarna, tak prosta sumienność, która w prasie zagranicznej stała się już nietylko obowiązkiem, ale nawyknieniem, dla nas jest w znacznej części obcą. Wiele redakcyj wstydzi się zaznaczać pod artykułami ich pochodzenia, niektóre spłacają ten dług inicyałami, podpisując np. *K. Z.* zamiast *Kölnische Zeitung* i tym sposobem łudząc czytelników skłamanem bogactwem swych sił. To by należało usunąć, ale nie zniszczy złego trybunał, chociaż częściowo z plagiatorów lub przedsiębiorców plagiatorstwa złożony, a wystarczy systematyczne chłostanie nadużyć przed oczyma ogółu.

Pozostaje więc literacki honor! Nie przeczymy, że z tym honorem bywa u nas rozmaicie; ale sądząc z tego, kto najgłośniej w obradach zjazdu krzyczał, wnosimy, że zamierzony areopag byłby daleko względniejszym dla grzechów głównych, niż dla powszednich i że szłoby mu przedewszystkiem o mocniejsze zesznurowanie swobody dziennikarskiej, która bez niego nosi dość ciasny gorset. Jest to, na szczęście, zamach, który może bawić, ale nie grozić. Nie potrzebujemy protestować, gdyż samo projektodawcze grono, rozjechawszy się do domów, zapomniało już pewnie o literackim kahale i nigdy go — ręczymy — nie urzeczywistni. Pozostanie on tęsknem marzeniem kilku amatorów urzędowania lub mścicieli krzywd miłości własnej, ale do życia naszego nie przejdzie. Pomimo to wszakże sam pomysł charakteryzuje wymownie zanikającą resztkę naszych popędów kastowych. Istnieją między nami ludzie, którzy chcą wyodrębnić mały światek literacki, wyłamać go z pod praw ogólnych, ustanowić nad nim osobny cech. Gdy urzędnik pokłóci się z urzędnikiem, kupiec z kupcem, chłop z chłopem — niech idą do ogólnego dla wszystkich sądu; ale literaci nasi, twory z lepszej gliny, staną powinni przed własnym syndykatem. Mówimy: nasi, bo zagraniczni rozstrzygają swe spory tam, gdzie inni śmiertelnicy. Oni nie mają w swych żyłach innej krwi, żadne „posłannictwo" nie zadziera im nosów do góry, uważają się za obywateli rów-

nych pracownikom każdego innego zawodu. U nas — jak zawsze — inaczej... U nas każdy stan musi się odcinać od innych, mieć swój odmienny kodeks, sąd, prawa społeczne. Ale, niestety, od wszelkich rozpinających swe ogony pawiów silniejszym jest wicher, który wyrywa dęby z korzeniami: spóźnione zachcianki naszych projektodawców trybunału literackiego muszą uledz potężnemu prądowi nowszych czasów, schylającemu do jednego poziomu głowy, które bez potrzeby nad nim sterczą. Interes materyalny literatów naszych jest dostatecznie ubezpieczony przez ogólne sądy krajowe, moralny zaś ma jeszcze lepszą niż część innych obywateli społeczeństwa opiekę w najsilniejszym organie opinii publicznej — prasie. Wszystkie nasze krzywdy, pretensye i skargi możemy każdej chwili wytoczyć przed sąd publiczny, po co tu więc jeszcze syndykat?

Nie zadawalibyśmy sobie tego pytania i nie zajmowali się takim bzdurnym projektem, gdyby nasz piśmienniczy pułk mniej posiadał żołnierzy, którzy w swych tornistrach noszą buławy marszałkowskie, ale w swych pochwach zamiast szabel — rożny od pieczeni. Naiwni, sądzą, że animusz przy biwaku jest odwagą w walce i że ten najlepiej hetmani, kto najgłośniej wiwaty wykrzykuje. I Falstaf tak mniemał, nie udało mu się jednak utworzyć żadnego syndykatu, chociaż także o tem marzył.

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

II.

W dziejowym rozwoju wierzeń, czując się otoczonym i rządzonym przez panujące nad nim siły przyjazne i wrogie, człowiek stawiał zawsze u źródła swych pojęć czy to kosmicznych, czy społecznych jakąś wyższą istotę, której przypisywał przyczynę wszystkiego. W okresie teologicznym taką istotą był *bóg*. Wielcy też twórcy zakonów, politycy w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu (Mojżesz, św. Paweł, Mahomet), z woli tej istoty wysnuwali całą kanwę społecznego życia. Objawienie stwórcy dawało wszelkie wiadomości o początku i rozwoju świata, ono też określało stosunki ludzkie i obowiązki. Wszystko miało boskie pochodzenie, posiadało boską protekcyę, było jedynie przejawem bożej woli. Instytucye społeczne: własność, rodzina, ojczyzna—były strzeżone przez święte przykazania a strach niebieskiego gniewu ochraniał je od ruiny. W poezyi greckiej znaleść możemy dowody, że Olimp karał wykroczenia przeciwko rodzinie (Antigona Sofoklesa, Edyp-król). Toż samo co do państwa, ojczyzny. Cała moralność, zaczynając od indywidualnej (hygiena), a kończąc na stosunkach jednostki do ludzkości, zawartą była w przepisach religijnych. Przez długi czas stanowiły one fundament jedyny i pewny. Bezpieczeństwo społeczne stało na niem niezachwiane przez wieki. Objawiona religia zadawalała wszystkie potrzeby ludzkie, natchnieni kapłani i królowie w imię jednej i tej samej zasady kierowali umysłami, pielęgnowali uczucia i regulowali czyny.

Ale do pojęć wkradać się zaczęło zwątpienie; stosy inkwizycyi, tortury więzień, perswazye kaznodziei nie zdołały uratować zużytej wiary. Wraz z nią pękały też dotychczasowe wiązadła społeczne, spełzała świętość z praw. Nareszcie, jako najdobitniejszy wyraz takiego obrotu rzeczy i konieczny jego rezultat, wybuchła wielka Rewolucya. Kto dziś uważa wspaniałe to dzieło, poczęte przez kapłanów wiedzy, jedynie za walkę rzeczypospolitej z monarchią!

Tam się odbyła detronizacya teologii. Już w okresie przygotowawczym nauka wyzwala się od wpływów objawienia; widzimy to w pomyśle i wykonaniu *Encyklopedyi*, której nikt od Rewolucyi nigdy nie oddziela. Widzimy tam przejawiającą się potrzebę i chęć przeistoczenia całego społeczeństwa, zastąpienia wierności patryotyzmem, wprowadzenia zmian w pojęciach własnościowych, nadania innego kierunku stosunkom ludzkim (braterstwo), spostrzegamy tam na każdym kroku bunt przeciwko obowiązującym regułom moralnym. Wszystko to jednak kołowało bezładnie, bez *podstawowej zasady*; stąd zamęt groźny dla porządku i postępu.

Głębsze umysły ówczesne zrozumiały, że nastała potrzeba gruntownego odnowienia pojęć, znalezienia nowych zasad bytu, nowych *wiązadeł*, nowej *religii*. Ale prawodawca się nie zjawiał i zamęt wzrastał.

Wszystkie różnorodne kierunki porewolucyjne można połączyć w dwie szkoły. Jedna chciała i chce utrzymać *porządek*, nawracając do dawnych wierzeń, czy to ze szczerego przeświadczenia, że obłęd przejdzie i wiara tem czyściejsza i świętsza zmartwychwstanie, czy też, uznawszy jej niedostateczność, chcą ją przywrócić ze względów czysto utylitarnych, jako jedyne źródło możności zbiorowego istnienia. Jest to niewykonalne, a wszystkie strachy spóźnionych proroków katolicyzmu nie zdołają natchnąć ludzi wiarą w to, co się stało nieprawdopodobieństwem. Religia objawiona, mając w ręku wszelką władzę, nie zdołała utrzymać porządku i prawidłowego rozwoju, jakże dziś to uczynić zdoła przy zupełnem nadwerężeniu jej powagi? Nareszcie, zagarnąwszy nawet pod swoją opiekę uczucia ludzkie i stosunki życiowe, nie potrafi już teologia wrócić do panowania nad nauką, a taki brak powszechności odbiera jej charakter religii, mającej spajać ludzi, być wspólną podstawą myśli, uczuć, czynów.

Drugą szkołę stanowią stronnicy rewolucyi w polityce, metafizyki w nauce. Szkoła ta, dzięki głównie natchnieniu Rousseau'a i protestanckiemu talmudyzmowi, mocno w tył cofnęła pozytywne dążenie Rewolucyi, a szczególnie racyonalny rozwój filozofii, posunięty tak wysoko przez wielkich uczonych XVIII wieku. Było to i jest bałamuctwo, niewyjaśniające nic, niestawiające żadnej hypotezy, któraby dopomogła do łatwiejszego objęcia zjawisk; wyrasta tylko zeń chorobliwy teizm i teologiczna zaciekłość ateizmu, usuwając na drugi plan istotnie poważne zagadnienia wiedzy.

W polityce zmieniono równie tylko nazwę i zamiast dawnego bożka ziemskiego postawiono nowy — lud, ukoronowano go w nieomylność. Czy rzeczywiście korzyść większą może przynieść rząd, powstały z woli niekompetentnej jednostki, niż z woli bardziej jeszcze niekompetentnej masy? Za cel idealny rewolucyoniści stawiają postęp, postęp ciągły, łamiący co chwila na swej drodze zawady wszelkimi sposobami. Nie mówią oni nigdy, kto, jak i kiedy z postępu korzystać ma, a przecie, gdy budynek ciągle się zmienia, mieszkańcy na bruku siedzieć muszą.

W pojęciach i życiu zrodził się zamęt, podobny do tego, jaki opisują nam poeci

Moje wspomnienia.

Osłaniano przedemną życie ciągle mgłą tajemniczości: mówiono tylko, że istnieje jakieś „złe.“ ale go nie nazwano po imieniu, nie określono bliżej. Więc cóż— prócz kradzieży, oszustwa, mordów i kłamstwa, o których katechizm mię uczył—owem złem ukrywanem mogło być innego, nad postępek, jakiego się dopuścił prawdopodobnie ów panicz i — Feliks?..

Krążyły mi w pamięci słowa matki i ciotki: „nikczemny, podły!“

Takim miał być mój narzeczony?

Innym go kochałam!

Rzucone nań świeże światło powinno było spalić odrazu obraz jego w mej duszy. Krew burzyła się we mnie, zalewając mózg gwałtowną falą, to znowu zbiegając nagle.

Po nocy bezsennej napisałam do Feliksa list krótki: pamiętam każde jego słowo, choć go ręka kreśliła tak szybko, jak szybkim był wówczas szept myśli moich i wirujących w głowie pojęć.

„Doznałam wczoraj strasznego, gnębiącego rozczarowania; dotąd sądziłam, że dla ludzi uczciwych miłość bywa jedyną na świecie, tą, co ich do ołtarza prowadzi. Pan kochałeś w swojem życiu więcej i, kochając, popełniłeś błąd, który ja nazwę występkiem. Nie znam, nie pojmuję prawdziwej jego doniosłości: dla mnie jednak na zawsze już zostanie on plamą duszy twojej, którą wielbiłam dotąd za to, że ją widziałam bez skazy. Wyznanie pana wczorajsze pomąciło wszystkie moje zmysły; dotąd brzmią mi w uszach twoje słowa, z których sobie sprawy zdać jeszcze nie umiem. Czy mogę być żoną pana po wczorajszej naszej rozmowie? Syn twój, któremu chcesz, bym zastąpiła matkę, przypominałby mi na każdym kroku straszną chwilę twej przeszłości; kto wie, czy nie znienawidziłabym go w końcu niby wyrzut sumienia, równie mi drogiego, jak moje własne? A ciebie czy nie znienawidziłabym również? Tego, co było, nie zapomina się tak łatwo nawet wobec jaknajlepszej doli teraźniejszej. Lada krok nierozważny ze strony pana mógłby wzbudzić we mnie podejrzenia i przypuszczenia, o których dotąd nie miałam pojęcia. Rozstańmy się. Proszę nie pisać i nie szukać drogi do mnie przez nikogo. Postanowienie moje nieodwołalne. Jedyną pociechą dla mnie jest myśl, że nikt z rodziny mojej nie wie o prawdziwej przyczynie naszego rozłączenia się. Chcę, ażeby matka moja nie zmieniała sądu swego o panu, graniczącego z mojem dawnem dla ciebie uwielbieniem. Błagam więc tylko, nie szukaj pan drogi do żadnych porozumień się tak z matką, jak i z kimkolwiek w rodzinie mojej.“

Feliks przestał nagle przychodzić; matka i ciotka pytały o przyczynę zerwania. Z początku nic nie odpowiadałam, w końcu zaś oznajmiłam, iż odmówiłam mu ręki swojej, przekonawszy się. że go nie kocham dostatecznie.

Podobno matka szukała sposobności pomówienia z dawnym moim narzeczonym, ale napróżno: Feliks w kilka dni po otrzymaniu mego listu wyjechał gdzieś daleko na północ, dokąd go powoływały prace jego inżenierskie.

Minęły dnie szczęścia dla mnie bezpowrotnie. Zostałam sama z myślami, zakłóconemi dziwnie, z przeczuciem głuchem jeszcze, niewyraźnem, że na świecie jakoś inaczej być musi, nie tak, jak to dotąd widziały nierozwidnione pojęcia moje.

I zaczęłam szukać dalej owego „złego,“ którem straszono mię zawsze, a które całkowicie, czy w połowie, odsłoniło mi się — według przypuszczeń moich — przez wyznanie Feliksa.

i historycy w Rzymie przed przyjęciem chrystyanizmu. Wszystkie zasady społeczne: ojczyzna, rodzina, własność, rząd zostały zakwestyonowane; na każdym kroku brak wspólnego wyjścia, wspólnego gruntu, na którym mogłyby się szkoły porozumieć. Dwa przeciwne twierdzenia najpoważniejszych socyologów nie znoszą się i nie osłabiają, bo każdy z nich w innej zupełnie sferze pozostaje; jest to walka ludzi machających szpadami w różnych kierunkach na wielkiej odległości. Pojęcia szerszego ogółu składają się raczej ze znaków zapytania, niż z pozytywnych twierdzeń.

Reakcyę spycha rewolucya, rewolucyę—reakcya, a każda zaciera to, co dodatniego zrobiła poprzednia.

Wielcy myśliciele przedrewolucyjni przewidywali przyjście niezbyt odległe epoki nauki i przygotowywali grunt. Konwencya usiłowała katolicko-feodalny stan rzeczy zastąpić innym, a za charakterystyczny wyraz tego dążenia postawiła *bóstwo rozumu*. W powietrzu coś się unosiło, co niewyraźnie kazało przypuszczać zmianę w tym kierunku. U nas poeci głoszą przyjście ery Ducha świętego—mądrości.

Najgłębszy myśliciel konserwatywny, de Maistre pisze: „Poczekajcie, aż naturalne pokrewieństwo religii i nauki połączy je w głowie jednego genialnego człowieka, zjawienie się jego nie powinno być dalekiem, a może nawet istnieje on już. Będzie to wielkim faktem i położy koniec XVIII wiekowi, który trwa wciąż.. *Wszystko zwiastuje jakąś wielką jedność, do której zdążamy wielkim krokiem.*"

Człowiekiem tym był August Comte *).

On dopiero (?) nietylko odczuł, ale zrozumiał zadanie chwili w całej rozciągłości. Wystąpił jako nowożytny mesyasz, aby zużyć na podstawy dalszego życia ludzkości wszystko, co cywilizacya wytworzyła przez kilkanaście wieków.

Przestudyowawszy to, co zostawili mu w spuściźnie poprzednicy, badając historyę, spostrzegł, że te jedynie pojęcia i czyny wysuwały się z pod skrzydeł teologii, które stawały się prawdami *dowiedzionemi*. Widzimy to nawet w wielu zjawiskach z charakterem społeczno-moralnym. Za najbardziej dobitny przykład mogą służyć religijno-etyczne przepisy co do czystości ciała, hygieny pokarmów itd., które straciły zupełnie swój początkowy charakter, pomimo iż potrzeba i zwyczaj znacznie je rozwinęły.

Granicę więc teologii zmaleją w miarę rozszerzania się wiedzy. Religia objawienia może i powinna ustąpić miejsca *religii nauki*. Zgoda w pojęciach, harmonia między porządkiem i postępem, prawidłowość rozwoju, trwałość społeczna przywróconą zostanie tylko wtedy, kiedy pojęcia o świecie i o stosunkach ludzkich będą prawdami tak *dowiedzionemi*, jak to, że suma kątów w trójkącie równa się dwóm prostym.

Wziął się więc Comte do teoryi nauk, jako do pierwszego słowa swego zadania.

Wyrzuca on przedewszystkiem stamtąd kwestye o początku początków, które zdolne jedynie wywoływać nieskończoną ilość pustych sporów, nie mogą być rozstrzygnięte przez udowodnienie i leżą poza granicami poznania. Następnie bada zależność zjawisk jednych od drugich i szuka *praw*; prawa, dotyczące przedmiotów pokrewnych, łączy w teorye dla należytego pojęcia całości. Główna myśl pozytywizmu nie leży w przyjęciu tej lub owej teoryi, ale w metodzie. Comte, oceniając znaczenie hypotez, jasno wykazał, że myśl ludzka wciąż się rozwijać musi. Dopóki jednak istnieją ledwie luźne twierdzenia, w połowie dowiedzione, odnoszące się do szczegółów, nieobejmujące całego świata zjawisk, nie ma nauki. Często zdarza się słyszeć zarzut, że wyznawcy Comte'a nie przyjęli dotąd teoryi Darwina. Jest to niedokładność, wypływająca z niewiadomości. Comte sam znał już prace Lamarcka, szacował wysoko Blainville'a i uznawał potrzebę zastąpienia teoryi Galla nową. Ani Laffitte, ani żaden z jego filozoficznych uczniów nie zaprzecza najnowszych zdobyczy nauk przyrodniczych, ale nie chce podnosić ich do wysokości pozytywnej nauki, dopóki nie skrystalizują się w teoryę, obejmującą całość zjawisk biologicznych.

Dotąd tego nie ma, sami nawet gorący, a poważni wyznawcy teoryi Darwina wykazują znaczne luki w łańcuchu dowodów (Vogt). Pomiędzy napół dowiedzione hypotezy wkradają się awanturnicze nawet pomysły. Dosyć przypomnieć sobie kwestyę Banyulusa, którego Haeckel zapamiętale broni, Huxley się wyparł a Vogt wyśmiewa. Nic też dziwnego, że spadkobiercy myśli Comte'a zachowują się wyczekująco.

Usystematyzowawszy, albo udoskonaliwszy tylko systematyzacyę znanych dotąd nauk, Comte dotarł nareszcie do socyologii. Były to wrota Herkulesa, po za które żaden uczony nie wysunął się dotąd całkowicie. Wielu z nich wprawdzie, w tej liczbie i Arystoteles, zwracało uwagę na zjawiska tego rodzaju, ale nie zbudowano żadnej teoryi, nie ugruntowano żadnego ogólniejszego punktu wyjścia. *Comte sam stworzył całą naukę.* Kiedy z pod teologicznych spojeń usunął się grunt, nikt długo nie podejrzywał nawet, na czem opierać należy przepisy obowiązków ludzkości i praw. Powstały fantazye metafizyków, ale te naukowej i społecznej doniosłości żadnej mieć nie mogły. Chciano politykę fundować na *swobodzie*, ekonomiczne stosunki na *równości*, moralne—na *braterstwie*. Są to słowa ładne i uczucia bardzo piękne, ale łatwo się przekonać, że — nic więcej. Zawierają one luźne, ogólnikowe pojęcia, które w żaden sposób za punkta wytyczne dla naukowych twierdzeń służyć nie mogą, bo podlegają najrozmaitszym tłomaczeniom. Pomimo setek wyjaśnień prawodawców i socyologów, hasło *wolności* używane jest przez wszystkie stronnictwa dla uzasadnienia tysiąca przeczących sobie pretensyj. Toż samo lub jeszcze gorzej powtarza się z równością i braterstwem, jak równie ze *sprawiedliwością*; każdy inaczej ją pojmuje, każdy może się kląć na nią, ale do utworzenia ogólnie przyjętego, a szczególnie *dowiedzionego* systemu posługiwać się nie może. A zresztą, dlaczego mianowicie na tych zasadach opierać należy byt społeczny? Że natura nakreśliła je w sercu człowieka? Kto tam to czytał! A nuż są jakie względy, które nie pozwolą usłuchać tego *głosu natury*; skąd pewność, że one dadzą ludzkości pomyślność? Chwilka namysłu przekona każdego, że to rojenia, nie wynik badań, że to poezya, a nie dowiedzione prawdy, że one do nowej budowy na fundament się nie przydadzą.

(D. c. n.)

*) Pozostawiamy autorowi tej poważnej rozprawki swobodę rozumowania, chociaż wielu jego twierdzeń i wywodów (w tekście pytajnikami zaznaczonych) nie moglibyśmy podpisać. Takiem np. punktem niezgody jest przeceniona, według nas, rola Comte'a i znaczenie jego filozofii w dobie obecnej. *Red.*

Kiedy on, w którego oczach widziałam zawsze tyle szlachetności, któremu tak wierzyłam, kiedy on zmazał życie swoje ciężką plamą, to chyba na ziemi nie było ludzi bez skazy, chyba wszyscy byli występni i pokalani.

Zaszło w umyśle moim tak częste i znane przeciwdziałanie pojęć: wiara w możliwość istnienia ideału przerodziła się — do czasu przynajmniej — na pesymizm zupełny.

Witałam ze wstrętem każdą twarz ludzką: wszystkie one zdawały mi się napiętnowane owem „złem," które odurzało mię, gdy myślałam o niem, a dla którego w słowniku pojęć moich nie umiałam znaleźć nazwy odpowiedniej.

„Szał, namiętność" — wyrazy te błąkały mi się po głowie, lecz wyrzucałam je z duszy mojej, jako ciosy hańbiące.

Sama, mając temperament spokojny, kochając głęboko, lecz bez gwałtownych wzruszeń, nie pojmowałam istnienia udziału krwi w miłości, nie przeczuwałam szalonych żądz, targających serca ludzkie wbrew woli, rozwadze, wbrew siłom postanowienia...

Przygnębiał mię smutek, żal za straconem sercem, które tak gorąco pragnęłam mieć dla siebie na zawsze; a jednak myśli rwały się do szybkich lotów. Podnieca je słowa matki, które przypominałam sobie ciągle: „poznasz niejedną wstrętną stronę życia; dość masz na to czasu!...

Chciałam wiedzieć wszystko: czy błąd, jakiego się dopuścił Feliks, miał stanowić jedyne i ostatnie moje rozczarowanie, czy było co po za nim gorszego, coby dopełniało ową „wstrętną" stronę życia, czy też takie zapomnienie się prócz zbrodni, kradzieży i kłamstwa było hańbą największą?

Chciałam wiedzieć wszystko, a jednak nie pytałam o nic nikogo; przyzwyczajona do samotności, wątpień swoich i rozmyślań żadnem nie zdradziłam słowem. Z żalem tylko patrzyłam na stosy książek w dawnym gabinecie mego ojca, wszystkie one jednak były pod kluczem, którego matka z rąk nie wypuszczała.

Do liter martwych więcej, niż do otaczających mię ludzi miałam zaufania, one byłyby mi rozwiązały niejedną dręczącą umysł zagadkę.

Zaczynało mi być jakoś duszno i ciasno w otaczających mię zawsze tych samych ścianach pensyonatu; jednostajność nużyła mię i nudziła. Coś nieraz zatrzymywało oddech w piersi, czułam potrzebę innego powietrza; zdawało mi się chwilami, że to, które dotąd poiło me usta, zadusi mię w końcu.

Jakieś niewyraźne pragnienia i chęci opanowywały mię zwolna, z myśli moich często nie umiałam zdać sobie sprawy. Wstydziłam się tych swoich wewnętrznych rozterek, chciałam je ukryć, a miałam to przekonanie, że każdy przechodzień wyczyta szereg ich w twarzy mojej.

Zaczął nas odwiedzać w tym czasie kuzyn nasz, który jeszcze dawniej podobno miał zamiar proszenia matki o moją rękę.

Uprzedzony przez Feliksa, ustąpił i nie pokazał się w epoce mego narzeczeństwa wcale. Łysy, po latach czterdziestu, zachwycać już sobą nie mógł; dla mnie jednak był bardzo łagodny; mówił dużo i dobrze o podróżach, które odbył, o powieściach, które czytał i o licznych, światowych zebraniach, których uczestnikiem bywał często, zajmując dosyć wybitne społeczne stanowisko.

Raz, po jednem z takich opowiadań, zażądał mojej ręki w obecności matki i ciotki. Obie uśmiechnęły się na to radośnie, a że ja go do nich w tej sprawie odesłałam, więc uznano interes za skończony.

Zostałam narzeczoną po raz drugi.

(D. n.)

Z ŚWIĄTECZNYCH DNI KRAKOWA.

7 października.

Kraków i uroczystości. — Parę słów o koronacyi obrazu Matki boskiej. — Obchód odsieczy Wiednia. — Jubileusz Matejki. — Zjazd literatów i artystów.

Z każdym topnięciem śniegów na wiosnę marzy się już od paru lat poczciwemu Krakowowi jakaś nadobłoczna batalia — a w jesieni znowu urządza ten szanowny gród różne uroczystości, większe i mniejsze. Jeżeli mu zbraknie Kraszewskiego, jest zaraz pod ręką ktoś inny; jeżeli zbraknie cesarza austryackiego, jest... Sobieski i tak dalej, a zawsze szumnie i gwarno. I nic w tem dziwnego: miasto biedne, jak zlicytowany rękodzielnik, martwe jak Herculanum, przytem zatrute stańczykowską atmosferą, chce od czasu do czasu już to zarobić, już to rozweselić się nieco, już też wraz z gośćmi odetchnąć swobodniej, uścisnąć rękę serdecznie. Urządzanie różnych obchodów weszło, że tak powiem, w krew Krakowa. Jest to dzisiaj pierwszy w kraju „aranżer“ do jubileuszowego poloneza, choć nic pogardza także i wiedeńskim walcem. Ma on swoje złe i dobre strony: rozumem nie grzeszy, blichtr bardzo lubi, można śmiać się z wielu jego ułomności, można go nazwać nieoględnym, marnotrawnym, lecz nigdy złym synem. Gdy wprzęga się dobrowolnie do karocy panującego nam „najmiłościwiej,“ gdy mu wyprawia krzykliwe owacye i sypie kwiaty pod nogi — podziwiajmy „heroizm niewoli;“ ale gdy obchodzi narodowe święta, bądźmy dlań z szacunkiem i wierzmy, że nie miną one bez pewnych dodatnich rezultatów. Mucha słonia nie urodzi — to fakt; lecz i to pewnik, że nic w świecie nie ginie. Zapatrywanie się na uroczystości krakowskie, jako na czcze, bezużyteczne bawidełko, wykraczałoby przeciw logice, zarówno jak przyczepianie do nich jakichś szczególnych następstw. Owe wszelkie „zbliżające się słońca,“ „początki nowej ery,“ „wypadki brzemienne w doniosłe skutki“ itp. są to, niestety, tylko ułudne wieńce nadziei, puszczane przez podochoconych dziennikarzów na mętną falę opinii publicznej, są to frazesy, w które wszystko przystrajać lubimy, są to wątłe niezabudki, któremi zwykliśmy prawie każdy wypadek obsypywać, a które pierwszy podmuch wiatru roznosi bez śladu. Jubileusz Sobieskiego nie miał głębszych politycznych motywów, był tylko zwykłym obchodem wielkiej rocznicy, manifestacyą narodową przeciw niewdzięcznym teutonom, szydzącym z nas w ocalonym Wiedniu — skąd więc żądać, aby on nas przeinaczył od stóp do kołnierza, był jakimś punktem zwrotnym na drodze odrodzenia i skąd odbierać jakieś namaszczone przysięgi od ucztujących biesiadników! Kto wtedy o czemś podobnem myśli! Z takich bujnych przedsięwzięć powstają jedynie — bańki mydlane, z których tylko Skierka może dla pijanego Grabca wydmuchiwać królewskie jabłka.

Rocznicę gorzkiego dla nas w owoce zwycięstwa święciliśmy z dziwnie rozpromienioną twarzą. Anibyś przypuścił, patrząc na nas, że to są ci nieszczęśliwcy, co umieją tylko wspominać dawną chwałę. Zdawało się, że hussarya nasza dopiero przed chwilą skąpała się we krwi zwycięskiej i że jeszcze szeleszczą nad naszemi głowami chorągwie, furkoczą proporce i grzmią tarabany. Zdawało się, że okrzykiem wesela chcemy przygłuszyć i dolatujące nas z nad Dunaju chichoty niemieckich biesów i głos dziejowy: „Święcicie ostatni wielki tryumf waszego oręża.“ Może w taką rocznicę właściwiej było nam posypać głowę popiołem i zapłakać nad sobą—nad swym upadkiem i nieoględnością względem Watykanu, dla którego interesów szczerbiliśmy nasze kordy pod Wiedniem, aby później pod jego murami jęczyć jak paralityk i z rezygnacyą niewolnika przyjmować policzki od lada bękarta. Może... może takby należało święcić ten dzień; ale nie żądajmy od ludzi, aby byli czemś więcej, jak dziećmi swego czasu.

Świąteczne dni rozpoczęły się dla Krakowa już niejako z pierwszym września, gdyż koronacya Matki boskiej w kościele karmelitów, przed którą miał się modlić Sobieski, idąc pod Wiedeń*), stała w związku z obchodem jubileuszowym i przeciągnęła się od 1 do 8 września. O tem czysto katolickiem święcie pisałem w poprzedniej korespodencyi; wiedzą już zatem czytelnicy, że zjechało się do Krakowa kilkuset mnichów różnego rodzaju, sześciu czy siedmiu biskupów trzech obrządków: katolickiego, greckiego i ormiańskiego, że zjedli, wypili i pokropili, co było do pokropienia—a potem wyjechali zadowoleni ze swego dzieła. Zapowiadana jednak procesya nie przyszła do skutku z powodu ciągłego deszczu, a co za tem idzie, wystawiona na Piasku brama tryumfalna służyła zaledwie jako przejście dla pobożnych pielgrzymów do przyległego szynku, który im więcej niósł pociechy, niż amnestya papieska dla ich grzesznych dusz i do którego prędzej mogli się dostać, niż do kościoła, gdzie wpuszczano tylko wybrańców losu—za biletami. Słowem, jak się wyraził katolicki *Czas*, koronacya była rozczulająca...

Po tym patryarchalnym obrzędzie rozpoczęły się w d. 11 września właściwe uroczystości. Oczywiście pierwszorzędną rolę odgrywały w nich nabożeństwa. Pobożni ojcowie, gdzie tylko mogli, szyli buty dla siebie, wskazując za źródło upadku kraju — brak wiary! W d. 11 września, o godz. 9 zrana nabożeństwo żałobne, w dniu następnym o godz. 8 procesya z kościoła ks. karmelitów na Wawel, tegoż dnia i w temże miejscu dziękczynne nabożeństwo z kazaniem ks. Pelczara *à la* Skarga, w d. 11 oracya ks. biskupa Dunajewskiego przy otwarciu *Muzeum narodowego*, w d. 12 września ks. biskup itd. Zgoła mogłeś sądzić, że jesteś na odpuście w Częstochowie. Gdybyś też we wspomnieniach jubileuszowych szukał czegoś trwalszego nad nabożeństwa, albo fantazyjne podrzucanie wylotów kontusza, nie wielebyś w nich znalazł. Otworzono wprawdzie *Muzeum narodowe*, ale, jak wiadomo, powstanie swoje nie zawdzięcza ono jubileuszowi. Otworzono także, jeszcze przed uroczystościami w d. 7 września, nowy przybytek nauki pod nazwą *Gimnazyum Jana III*, ale i dlań jubileusz był tylko przybranym ojcem. Pozostaje więc *Wystawa zabytków* z *epoki Sobieskiego*, będąca istotnie cenną skarbnicą dla badacza XVII wieku—oby tylko z niej skorzystano.

Otwarcie *Wystawy* nastąpiło w pierwszy dzień uroczystości, 11 września, o god. 11 przed południem, po nabożeństwie żałobnem w katedrze i złożeniu na sarkofagu Jana III wieńców przez reprezentantów różnych instytucyj, władz, stowarzyszeń miejscowych i zamiejscowych. Wystawę otworzył p. marszałek krajowy Zyblikiewicz przemówieniem, z którego to tylko da się wycisnąć, że najwięcej uroku dla serca *polskiego* (?) ma wyprawa pod Wiedeń i że niechaj otworzona przezeń wystawa uprzytomnia nam, co czyniło nas *wielkimi* (czy szafy gdańskie?) a zarazem *strzeże* (!?) *od błędów*, które upadek kraju spowodowały! Po tak jubileuszowem przemówieniu zabrał głos p. Zoll. Mówił długo, ale nudnie; po polsku, ale lichą polszczyzną, częstował morałem, ale stańczykowskim i, jak malina w ustach, rozpływał się w komplimentach i ukłonach, zacząwszy od ks. biskupa, skończywszy na p. Zuzannie Czartoryskiej. Ciekawe znowu *juwele*, jak powiada po polsku p. prof. Zoll, połyskiwały w ustach ks. Dunajowskiego, gdy potem otwierano *Muzeum narodowe*. Wiadomo, że ks. biskup krakowski, prócz Chrystusa, jest także sługą Potockich, którzy go wynieśli na dzisiejszą godność. Wiadomo dalej, że od dawien dawna patrzą Potoccy na Czartoryskich nienawistnem okiem i że Czartoryskich cechuje szczególna namiętność do zbierania zabytków przeszłości. Otóż, jak mnie objaśniono, nie bez wyraźniejszego celu wytykał ks. biskup tych, co „pod osłoną tkliwej miłości dla sztuki nawet do kościołów sięgnęli ręką“ etc.—a miał trochę racyi, chociaż i jego wylew „tkliwej miłości dla sztuki“ również był „osłoną“... prywaty. Prócz ks. Dunajewskiego, przemawiał jeszcze prezydent miasta, p. Weigel i dyrektor Muzeum narodowego, Wł. Łuszczkiewicz. Mówca w przydługich nieco, lecz jędrnie wypowiedzianych słowach, skreślił dzieje powstania Muzeum, jego znaczenie, cele i z prawdziwą hojnością ukoronował zasługą kilku, mających do niej pretensyę już od urodzenia.

Uroczystością ludową zakończył się pierwszy dzień jubileuszu i ona też jedna, lubo sztuczna, zdolna była na każdym wywrzeć głębokie wrażenie. Nie wierzyłeś ani w to gwałtowne rzucanie się naszych demokratów na szyję chłopa, zbyt gwałtowne, aby można w nie ufać; ani w owe chłopskie perory, zbyt kunsztowne, jak na prostaka: widziałeś wyraźnie w głębi reżyserów, maszyneryę, która to wszystko według potrzeby nakręcała, widziałeś tylko złudne odbicie tego, coby być mogło — i dlatego jedynie tak mocno czułeś się wzruszony. Nie mogę wdawać się w szczegółowy opis uroczystości — ciekawość czytelnika niech zaspokoi następująca, zwięzła notatka.

O godzinie 2 po południu delegaci chłopscy z 62 powiatów zebrali się w rądlu bramy Floryańskiej, a stąd, po krótkiem powitaniu p. marszałka krajowego, wyruszyli z wieńcami i muzyką w strojach krakowskich na Wawel. Najprzód szli krakowiacy, dalej deputaci lwowscy w błękitnych świtach i cały szereg włościan polskich oraz ruskich. Poważny ten pochód przedstawiał się wspaniale. Złożywszy wieńce w grobach królewskich na sarkofagu wielkiego zwycięscy, deputaci udali się na Błonia, gdzie ich powitał z trybuny prezydent Weigel. Niebawem nadciągnął hufiec stukilkudziesięciu krakusów, za nimi korowód z setek włościan, wesele krakowskie, wieśniaczki z olbrzymimi wieńcami z owoców, żyta, pszenicy i jarzyn, wreszcie drugi oddział krakusów. Rozpoczęły się liczne przemówienia włościan, nastąpiły uściski, łzy i okrzyki, a niebo, dotąd zasępione, spojrzało na ziemię łaskawiej. Mówię to bez żadnej przenośni, choć chciałbym przypomnieć, że istotnie byłoby nam słonecznie, gdyby w chłopie dziś już żyło

*) W poprzedniej korespondencyi krakowskiej (nr. 39), wyliczając rozmaite niedorzeczne przemiany, jakoby przez moc cudowną zdziałane, wspomnieliśmy także o Sobieskim, który według przekonania ultramontańskiej tradycyi, był niedołęgą i ani jednej bitwy nie wygrał a dopiero pomodliwszy się w kościele karmelitów odniósł zwycięstwo. Otóż jeden z maniaków *Roli*, widzących w prasie warszawskiej tylko żydowskie pierzyny, które oni rozdzierają, przypisawszy *nam* ową opinię o Sobieskim, domyśla się, że korespondencyę musiał pisać—żyd. Jeżeli *Rola* tak dalece nie rozumie Talmudu, którym przecie chyba jak pchła z bajki Mickiewicza żyje, że złapała się na zdaniu hebrajskiem, podsuniętem jej w fałszywym przekładzie przez jakiegoś figlarza, toć chyba nic dziwnego, że mogla grubo omylić się w rozumieniu tekstu polskiego. A może to nie omyłka? W takim razie głupota i niegodziwość, dwa takie grzyby w jednym barszczu dziennikarskim obok przyprawy z *hudym* i *gojłym* — to doprawdy za dużo—nawet dla zwrócenia na siebie uwagi skandalem, o ktory temu pokątnemu organowi złych instynktów widocznie chodzi. *P. K.*

zabite przez nas uczucie obywatelskości, zaś pp. demokraci krakowscy nie na Błoniach i nie po szampanie, ale gdyby w codziennem życiu objawiali rzeczywistą miłość ludu. W ogrodzie karmelitów, gdzie potem podążyli uczestnicy obchodu, oczekiwało na nich trochę kiełbasy, placka i piwo. Była to tak zwana uczta. Przedtem, po tak zwanym obroczku duchownym ks. Polkowskiego, odsłonięto w kościele karmelitów tablicę z powodu pobytu włościan na uroczystości. W ogrodzie porozmieszczano rozmaite transparenty, widziałeś tańce i grupy alegoryczne, nie brakło śpiewów a co najgłówniej — przemówień. Zabierali głos wieśniacy i ludzie z innych sfer. Najlepiej zapewne przyjęto przemówienie posła Romanowicza, rzeczywiście bardzo zręczne i gorące. Miało ono za główną nić doniosłość oświaty dla ludu i dlatego wychylił mówca toast na cześć nauczycieli wiejskich. Zabawa w ogrodzie należała do nadzwyczaj sympatycznych, bo serdecznych; sympatyczniejszą była, niż owa parada na Błoniach—czcze widowisko dla tych, co lubią śmiech chłopa, nawet łzy — w teatrze.

A propos teatru. Wieczorem przedstawiono po raz pierwszy *Jana III pod Wiedniem*, lichą, lecz nie bez austryackiego wdzięku sztukę Wł. Anczyca, pisaną w ostatnich chwilach życia. Wystawa i kostiumy — mizerne! Ale to mniejsza: p. Koźmian i tak zrobił interes, zwłaszcza że, jak przystało na dyrektora narodowego teatru, kazał sobie płacić w dzień narodowego święta — w dwójnasób. Że on to zrobił, rzecz całkiem zwykła; dziwi tylko, jakim sposobem taka prywatna spekulacya, takie podstępne obrzynanie kieszeni przejezdnym znaleść się mogło w programie uroczystości gościnnych Krakowa.

Procesya z kościoła ks. karmelitów na Wawel o godz. 8 rano otworzyła dzień 12 września. Podczas nabożeństwa, jak już wspomniałem, udawał Skargę ks. Pelczar. Cały ten występ pobożnego kaznodziei możnaby wszakże najzupełniej pominąć, gdyby nie pewien szczegół. Mianowicie ks. Pelczar poruszył z kazalnicy zarzuconą myśl wzniesienia na Wawelu pomnika Piusowi IX, a nawet śmiał twierdzić, że „naród wszystek“ już to „postanowił,“ aby pomnik „jak owa chorągiew w Lateranie był *pamiątką* (?) nowych dobrodziejstw i godłem wiecznego między narodem polskim a stolicą św. przymierza.“ Ks. Pelczar, że użyjemy grzecznego wyrażenia, powiedział zupełną nieprawdę. Pomnika Piusa na Wawelu chciał p. Paweł Popiel, może p. St. Koźmian z panią Hoffmann i księża, lecz nie naród. Naród na pierwszą wieść protestował energicznie przeciw tej grabieży jego Panteonu na rzecz ultramontańszczyzny, protestowało i protestuje całe postępowe dziennikarstwo galicyjskie, i śmiało twierdzić można, że bez pogwałcenia woli ogółu, choćby nawet ks. Pelczar stokroć razy lepiej agitował z kazalnicy, między królów polskich i bohaterów nie wkroczy na Wawel żaden intruz włoski.

Popołudniu o godz. 4 wobec przepełnionego publicznością rynku i trybun odsłonięto na kościele Maryackim płaskorzeźbę pamiątkową w bronzie, fundacyi Rady miejskiej. Najprzód przemówił prezydent p. Weigel. Wartość jego mowy stanowiło efektowne wypowiedzenie zwykłych w takich razach i w pobożnym Krakowie myśli. Jak w jednem tak i w drugiem prawie mu nie ustępował inny mówca chłop Waligóra z Woli Justowskiej — szkoda tylko, że pełniący rolę wyuczonego kosa. Gdy ks. biskup pokropił płaskorzeźbę, a p. Welonski odsłonił swe dzieło, publiczność wydała straszliwy okrzyk — nie wiedzieć, czy z zachwytu, czy ze zdziwienia, że zamiast Sobieskiego, ujrzała raczej Bismarka. Płaskorzeźba pod względem charakteru jest istotnie chybioną i zużytą w motywach kompozycyą. Ma jednak stempel nazwiska Welońskiego, trochę z jego techniki i kosztuje 6.000 złr. Śpiewy towarzystw muzycznych i kantata p. Żeleńskiego ze słowami Wł. Anczyca stanowiły tło dekoracyjne uroczystości. Zwolennikom literatury stańczykowskiej rozdawano broszurę p. Tarnowskiego z powodu jubileuszu, wydaną kosztem nie hrabiego, lecz Rady miejskiej — i tekst kantaty.

Wieczorem zapalono iluminacyę. Tłumy publiczności zalewały ulice, podobno nawet przechadzał się przybyły na jubileusz delegat portugalskiego czy włoskiego ministerstwa oświaty p. Rusconi i hrabia o trzech nazwiskach a jednej głowie: Dienheim-Szczawiński-Brochocki. Iluminacya wypadła dość słabo, gorzej niż podczas koronacyi obrazu Matki boskiej, gdzie Kraków gorzał jak bóżnica w sądny dzień, co nie jest bynajmniej „smutne,“ gdyż zbyt błahe — tylko charakterystyczne.

Jubileusz Matejki, urządzony nazajutrz przed południem na Wawelu, wywarł na rozweselonych uczestnikach uroczystości nadzwyczaj przykre wrażenie, gdy mistrz składającym mu hołdy czci i uwielbienia oświadczył, że to, co było ich jedynem pragnieniem i na co zaofiarowali swój grosz wdowi — obraz ostatni przeznacza dla papieża. Cieszyli się tylko stańczycy i dziady z pod kościoła. Napróżno p. St. Tarnowski zaczął prawić jak wytrawny aktor wzniosłą oracyę *à la Wojsko strzelistych efektów zarekrutowone do Niepokalanego poczęcia*; napróżno *Czas* nazwał ją „niezrównanem natchnieniem,“ nikt nie mógł ani utulić swego żalu, ani zmienić przekonań, a bodaj wierzyć w „natchnienie“ p. Tarnowskiego, który „natchnął się“ jak zwykle w domu— przed lustrem, wiedząc, co zajdzie—a czego są liczne wskazówki. Po nabożeństwie składano Matejce dary, adresy it.p. w dolnym krużganku pałacu królewskiego, gdzie on właśnie darował obraz papieżowi, poczem otwarto wystawę dzieł mistrza. Wieczorem odbyło się na jego cześć przedstawienie w teatrze — przy wymijającem zachowaniu się publiczności.

W ogrodzie Strzeleckim w tymże dniu odsłonięty został pomnik zwycięzcy z pod Wiednia. Jest on dłuta p. W. Gadomskiego i jak na pośpieszną robotę, wcale dobry. Na uroczystość zjechali się członkowie towarzystw strzeleckich z całej Galicyi i Poznania.

Zaraz następnego dnia rozpoczął się pierwszy zjazd literatów i artystów. O nim jednak później.

Prawdzic.

LISTY PETERSBURSKIE.

4 października.

Spodziewane uroczystości pogrzebowe i ich prawdziwe znaczenie. — Projekty reform ekonomicznych. — Ostatni utwór Szczedryna. — Sprostowanie fałszywego poglądu historycznego.

Najwydatniejszym objawem życia społecznego w Petersburgu są spodziewane uroczystości pogrzebowe, które mają się odbyć 26-go bieżącego miesiąca. Wiele gazet tutejszych, a między innemi i *Kraj*, widzi już w nich ujawnienie się wolnomyślnych przekonań inteligencyi rosyjskiej, która, uznając w Turgeniewie nietylko wielkiego pisarza, ale i społecznego działacza w duchu liberalnym, stara się wyrazić swoją łączność ze zmarłym. Czy charaktor uroczystości żałobnej będzie tendencyjnym, przesądzać niepodobna, zawsze jednak wydaje mi się wiara w te uorganizowane sympatye liberalne zanadto sztuczną i nieodpowiadającą istocie rzeczy. Zresztą, przysądziwszy nawet taki charakter zamierzonym uroczystościom, musimy przyznać, iż nie miałyby one celu. Przedmiotem publicznego hołdu mogą być tylko publiczne przekonania pisarza, mianowicie te, które on ujawnił w swych dziełach. Tula się po wielu umysłach zdanie, jakoby Turgeniew był specyalnym dostawcą typów „nowych ludzi;“ dla uważnego jednak czytelnika wyraźną jest tożsamość owych typów przy zmieniających się warunkach. Dwa główne przez Turgeniewa odmalowywane nie schodziły z literatury europejskiej od czasów Cervantesa i Shakespeare'a: mianowicie tak zwany w Rosyi człowiek słowa, zdolny jedynie do rozmyślań, i człowiek czynu. Rzecz godna uwagi, że wszelkie sympatye autora są po stronie tych nowożytnych Hamletów; ludzi czynu przedstawia wogóle ujemnie, jednostronnie, stoją oni wysoko nie bezwzględną siłą swoich charakterów, ale wielkością dzieła, któremu służą. Miłe i wzbudzające zapał przymioty duchowe, są zawsze u niego właściwością ludzi słowa. Ten nastrój psychologiczny w utworach Turgeniewa jest panującym, a charakter ich publicystyczny stoi zawsze na drugim planie. Autor *Notatek Myśliwego* był nadewszystko psychologiem i artystą, a nie apostołem. Kto więc chciałby uznawać w ogólnem współczuciu i gotującej się uroczystości wyraz liberalnych przekonań rosyjskiej inteligencyi, ten przypisywałby platonicznym, w znacznej części, porywom siłę uorganizowanego stronnictwa. Byłby to pogląd, nie przeczę, pociągający, ale, bądź co bądź, mylny.

Z drugiej znowu strony wielką, co najmniej, pomyłką jest sprowadzanie do zera liberalnych uniesień rosyjskiego społeczeństwa, jak to czyni w jednym z ostatnich numerów osławiona *Ruś*. P. Aksakow, wspominając czasy niedawne, widzi w nich tylko pustą frazeologię, brak inicyatywy rządowej. Jednakże wszelkie zmiany, któremi obecnie zajmują się sfery rządzące, biorą swój początek właśnie w tej krótkiej epoce. To jedno wystarcza na odparcie rzuconych w nią grotów. Oprócz reformy administracyi i miejscowego samorządu, opracowanej przez tak zwaną komisyę Kachanowską, wszystkie obecne przekształcenia mają charakter przeważnie ekonomiczny. Główną zasadą, która pozyskała prawo obywatelstwa w sferach naczelnych jest myśl regulowania stosunków ekonomicznych przez państwo. Wywiązała się nawet z tego powodu ciekawa polemika między p. Połońskim, posądzającym rząd o socyalizm państwowy i p. Gołowaczowem, słusznie dowodzącym, iż przeszły czasy obaw przed słowami. W tym więc, jeżeli już koniecznie chcemy — państwowo-socyalnym kierunku zwracają się reformy obecne. Dość wskazać plany, dotyczące kredytu, projekt urządzenia osobnego ministeryum przemysłu, nowej ustawy fabrycznej i t. d.

W sprawie dróg żelaznych na uwagę zasługuje zamiar utworzenia rady kolejowej, niezależnej od ministeryum komunikacyi. Ponieważ ostatnie ma na widoku głównie cele techniczne, a drogi żelazne posiadają wielką doniosłość ekonomiczną, społeczną i nakoniec wojskową, więc powstanie owa rada pod kierownictwem ministra komunikacyi, składająca się z przedstawicieli ministeryum skarbu, dóbr państwa, wojny i spraw wewnętrznych, deputatów od zarządów kolejowych, tudzież delegowanych od miast i ziemstw. Jej zawiadywaniu podlegać będą sprawy natury ekonomicznej, jak: taryfy przewozowe, amortyzacya długów itp. Projekt ów wzbudza wielkie niezadowolenie w sferach inżenierów i obecnych kolejowców, którzy stworzyli sobie rodzaj kultu z nietykalności samorządu dróg żelaznych. Szkoda tylko, iż pierwszym artykułem tego kultu jest prawo bezprawia. Nieraz odzy-

wała się skarga na obojętność ogółu wobec poczynania się reform tak ważnych. Nic dziwnego. Społeczeństwu rosyjskiemu sprzykrzyły się marzenia o niebieskich migdałach; gdy zamierzane plany ze sfery projektów przejdą w dziedzinę rzeczywistych faktów, wówczas bezwątpienia objawi się ogólna dla nich uwaga. Dziś ma ona do zajęcia się tylko... pogrzeb Turgeniewa.

Doskonale wyraził tę apatyę Szczedryn, puszczając w świat nową seryę opowiadań pod tytułem *Poszechońskie opowieści**). Jest to zbiór cynicznych lub czczych anegdot, z wyjaśnieniem w nadpisie: „po Seńkie i szapka“ czyli — wart Pac pałaca. Ostatni ten utwór wzbudził wiele niechęci i, zdaje się, bardziej zranił, niż wszelkie najdotkliwsze strzały Szczedrynowskiej satyry.

Jedynym może przedmiotem, wzbudzającym namiętności społeczne, jest kwestya żydowska. Ponieważ jednak ona obchodzi także nasze społeczeństwo, rozbiór więc odnośnych poglądów odkładam do następnego listu.

Na zakończenie małe sprostowanie błędu historycznego. Błąka się dotychczas po wszystkich prawie rosyjskich organach mniemanie, iż Murawiew, chociaż z zasady przeciwnik uwłaszczania włościan, w „Kraju północno-zachodnim“ działał całkiem przeciwnie i usiłowaniom jego włościanie zawdzięczają poprawę swego stanu ekonomicznego. Cyfry, ogłoszone przez *Wojenno-statystyczny zbiornik*, wykazują, że ilość ziemi, uprawianej przez włościan przed reformą, zwiększono: w Królestwie Polskiem o 25%; w Kraju południowo-zachodnim o 40,6% — w północno-zachodnim o 19.5%. Oszacowanie ziemi było zbyt wysokie, stąd i norma wykupnych spłat również za wysoka. Wkrótce po wprowadzeniu reformy ministeryum postanowiło zmniejszyć te spłaty: w Kraju południowo-zachodnim obniżka wyniosła 49,6%, w północno-zachodnim 35%. Obecnie według oszacowań bankowych włościanin w Kraju południowo-zachodnim płaci wykupu ze 134 rs. 3 rs. 43 k., a w północno-zachodnim z 69 rs. — 3,98.

Fakty te wymownie świadczą, iż cała zasługa uregulowania bytu ekonomicznego włościan w Kraju północno-zachodnim należy się działaczom petersburskim, rola zaś Murawiewa wywarła wpływ niekorzystny. Czyj zaś interes miał on na widoku, świadczą zbiorowe odezwy i protesty jego podwładnych administratorów, składane w redakcyi *Russkoj Stariny*.

W. Ż.

---

*) Cesarzowa Katarzyna II żołnierzom, którzy przyczynili się do jej wstąpienia na tron, rozdarowała wiele ziemi w powiecie poszechońskim. Gburowatość i głupota poszechońskich obywateli stały się przysłowiowemi.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 4 października.

Skarga Szewczenki. — Wyglądanie mesyasza! — „Kosmopolityczny“ wiek odrodzenia się narodowości. — Obecna dola narodowości ruskiej. — Powody i znamię zatargu. — Odwrót ze stanowiska ugodowego. — Pozytywka „Russkoj Rady.“ — Rejestr żądań. — Chyba za wiele... — Wieża Babel i środek przeciwko grożącemu rozproszeniu narodów. — Wolność słowa dla *Słowa*. — dla reszty pożądana cenzura. — *Gazeta narodowa* w obozie ugodowym, czyli: *dumy za gorami, smjertj za pleczami...* — *E sempre bene.* — Teatr ruski.

I deń ide i nicz ide
I hołowu schopywszy w ruki,
Dywujesz sia, czomu nejde
Apostoł prawdy i nauki...

Temi słowy „batjka“ Tarasa, mistrza ukraińskiego, rozpoczynam rzecz moją dzisiaj. W smutnej zadumie pogrążony pieśniarz skarżył się tak z rezygnacyą ruskiego chłopa a snać patrzył w daleką przyszłość, jeżeli żadna weselsza nuta nie zadrgała na smutnych strunach jego liry... Patrzył zaś w tę dal iście proroczo. Od czasu, gdy skarga jego, w świat puszczona, przebiegła stepy Ukrainy, minęło już lat wiele, rówieśnicy Tarasa pokładli się do zimnej mogiły a nad Dnieprem i Dniestrem wychowało się całe pokolenie młodej Rusi. Wielka zmiana — skargę zaś Szewczenki odbijają złowieszczem echem i Dniepru fale i Karpat szczyty i burzany stepowe. I wszystko się tak naokół skarży i dziwuje, *czomu nejde apostoł prawdy i nauki...*

Smutną jest, zaprawdę, dola narodu ruskiego! Nie weselszą bywała ona i dawniej, ale w czasach, kiedy pojęcie narodowości nie było jeszcze tak skrystalizowane a miłość jej, nieprzekraczająca sfery rodzinnych albo kastowych interesów, nie była tak głęboką i tak bezgraniczną, na jaką dopiero dziewiętnastego wieku dzieci zdobyć się mogą. Żadna też chyba epoka nie wykazała tyle drażliwości uczuć narodowych, ile jej zaznacza na każdym kroku „kosmopolityczny“ wiek obecny. Wszakże nie kiedyindziej zresztą, lecz w bieżącem dopiero stuleciu powołanych zostało na nowo do życia *narodowego* bodaj czy nie kilkadziesiąt ludów rozmaitych. Widać to zwłaszcza na Słowiańszczyźnie w całej pełni.

Wracam do rzeczy. Jeżeli mówię o smutnej doli narodowości ruskiej, to jużciż z całą słusznością mogę twierdzić, że jest ona więcej opłakaną dziś, niż była kiedykolwiek, choćby też i w czasie najazdów tatarskich. Ucisk mógł być wtedy społeczny albo ekonomiczny, religijny wreszcie, na samą jednakże narodowość niemal żadnego nie zwracano względu. Dzisiaj mają się rzeczy inaczej. W ogólnej walce o byt narodowość jest obecnie jednym z najpotężniejszych czynników.

Mimo zaprzeczeń, w złej czy dobrej wierze, faktem jest, że na spór polsko-ruski w Galicyi składają się powody czysto narodowościowej natury, niewłaściwie obniżane do kościelnego i społeczno-ekonomicznego poziomu. Hasło: *Lisy i pasowyska!* wyłącznie ludowi ruskiemu w usta wgniatane, odbija się równie serdecznem echem na porzeczu Dniestru, jak i Wisły a sprawa kongruy księżej zarówno jest drogą dla „tyrolczyków Wschodu,“ jak i prawdziwych mieszkańców Tyrolu. Przed laty trzydziestu *rzeczywisty* stan rzeczy był może naprawdę taki, jak go dziś *tendencyjnie* przedstawiają; ale od tego czasu stosunki zmieniły się nie do poznania i nie wolno już dzisiaj sprawy ruskiej chrzcić sprawą chłopów i popów. Zatarg polsko-ruski jest rzeczywiście narodowym. Atoli nie wszyscy godzą się na to, nie wiedząc może nawet, jak drażnią tem rusinów i obrażają ich godność.

Gdybyż tyle jedynie było złego! Stosunki między polakami a rusinami są u nas tak naprężone, takie z jednej strony nieopatrzne wyzyskiwanie przewagi politycznej a z drugiej niechęć do zgody z faktami i zawiść, z obu zaś brak szczypty dobrej woli do porozumienia się i wzajemnych ustępstw — że czasem wybiega z ust bluźniercze żądanie, aby jakaś zawierucha polityczna położyła koniec dalszemu plątaniu się tego prawdziwie gordyjskiego węzła na pozór czy rzeczywiście sprzecznych interesów.

Zawiadamiałem w jednym z poprzednich listów, zaręczałem niemal, że w czasie bieżącej sesyi sejmowej podniesioną zostanie ze strony polskiej myśl zawarcia ugody z naszymi nieprzejednanymi. Informacya moja była prawdziwa—cóż, kiedy od uczciwego tego zamiaru sami inicyatorowie odstąpili już w pierwszych dniach obrad, a porzuconego sztandaru nikt, zdaje się, nie zechce podjąć. Na każdem niemal posiedzeniu antagonizm ławy ruskiej do większości sejmowej zaostrza się coraz bardziej, zwłaszcza śród żywych nader kłótni przy sprawdzaniu wyborów, w czasie których działy się, jak wiadomo, skandaliczne częstokroć nadużycia.

Tak więc ze strony polskiej porzucono już, bodaj czy nie zupełnie, myśl porozumienia się z rusinami. Natomiast posłowie ruscy mają wystąpić w sejmie (podobno jeszcze na tegorocznej sesyi) z szeregiem żądań, od których przyjęcia lub odrzucenia zależeć będzie udział ruskiej reprezentacyi w obradach lub usunięcie się z krajowego parlamentu. Nie wiadomo jeszcze, jak wielkie będą te wymagania; to jednak pewna, że wynik układów będzie ujemny, jeżeli w pretensyach swych zajdą tak daleko, jakby sobie życzyła tego „Russkaja Rada.“ Z arki tej wyleciała gołębica z różdżką oliwną, na której listkach wyczytaliśmy cały szereg punktów zawrzeć się mającego przymierza.

Sens ich taki:

1) Oba języki krajowe mają być całkowicie równouprawnione i oba zarówno urzędowe.

2) Każdy polityczny i autonomiczny urzędnik winien umieć pełnić swe obowiązki zarówno w polskim, jak i ruskim języku; w ruskim—pismem ruskiem.

3) We wschodniej Galicyi mają być wszystkie napisy pod c. k. orłami i krajowym herbem Galicyi: u góry ruskie, spodem polskie; w zachodniej odwrotnie.

3) Ze wszystkiemi gromadami i obywatelami ruskimi korespondować winny władze obowiązkowo tylko po rusku i ruskiem pismem.

5) We wszystkich szkołach Galicyi wschodniej, ludowych i średnich, jak niemniej i na uniwersytecie, językiem wykładowym będzie ruski; polski zaś tylko przedmiotem nauki, także i wykładowym dla niektórych, ustawą wskazanych przedmiotów; w Galicyi zachodniej językiem wykładowym będzie polski z takiemiż samemi prawami dla ruskiego, jakie by miała polszczyzna w Galicyi wschodniej.

6) Prawo prezentacyi przy obsadzie probostw przechodzi na tych, którzy ponoszą ciężary utrzymania cerkwi i plebana, t. j. na komitety cerkiewne.

7) Dla wyboru posłów do sejmu krajowego utworzonym ma być komitet centralny, złożony z siedmiu członków: trzech polskiej a trzech ruskiej narodowości, którzy wybiorą sobie siódmego za przewodniczącego. Polscy członkowie zajmą się wyborami w tych okręgach, w których przeważa liczba ludności polskiej, ruscy zaś w tych, gdzie—ruskiej. Urzędnikom wzbronioną będzie wszelka przy wyborach agitacya. Wybrani w ruskich okręgach posłowie liczyć się będą do ruskich, w polskich okręgach do polskich.

8) Do wydziału krajowego wchodzić ma trzech polskich i trzech ruskich posłów.

9) Z funduszów krajowych wspomagane będą zarówno ruskie, jak i polskie instytucye.

10) Pismo, język, gramatyka, pisownia nie mogą być przedmiotem ustawodawstwa, oskarżeń, prześladowania; w ogóle hegemonia narodowa znosi się.

11) Sejm przedsięwziąć ma stosowne środki przeciw drażniącemu Ruś wdarciu się jezuitów do Dobromila i ich przewodzeniu w unickiej cerkwi, co jest jedną z głównych przyczyn nienawiści międzynarodowej.

Oto i spis żądań „Rady ruskiej,“ ogłoszony kilka dni temu w organie jej urzędowym, *Nowym Prołomie*. Nie wiadomo jeszcze, czy posłowie ruscy poprą go, warto jednak zastanowić się nad jego osnową,

w przypuszczeniu, że nie odbiega on zbyt daleko od spisywanych obecnie w Klubie ruskim pretensyj. Trzeba bowiem i to zważyć, że, z wyjątkiem jednego, wszystkich dziewięciu posłów przedstawiła „Rada."

Trudno odmówić słuszności żądaniom w punktach 1—4, 6, 9 i 11. Ku wspólnemu dobru i ładowi powinny one były już dawno być w drodze ustawodawczej załatwione. Ale również trudno zupełną przyznać racyę pozostałym czterem artykułom. Mam na uwadze zwłaszcza piąty. Ludność Galicyi jest, jak wiadomo, nadzwyczaj mieszaną, głównie w miastach, w których zresztą przeważa żywioł polski. I dla tej to ludności ma być także językiem wykładowym ruski! Wyobraźmy sobie Lwów np. ze szkołami tylko ruskiemi, z gimnazyami tylko ruskiemi, z uniwersytetem wreszcie ruskim... Ktoby do tych szkół uczęszczał, kto wykładał na wszechnicy po rusku, kiedy brak materyałów na profesorów, a choćby i skompletowano cudem jakim grono nauczycielskie—gdzież odpowiednia literatura naukowa, w języku ruskim spisana; gdzie terminologia do tylu rozmaitych gałęzi wiedzy, której lada *jazykosłow*—a chciałby nim być każdy rusin—z niczego nie wykrzesze, gdzież wreszcie choćby słownik ruski, który się dopiero pisze i drukuje?!...

Nie, punktu tego poważnie brać nie można, a jeżeli w tem brzmieniu podniesie go klub ruski w sejmie, narazi się jedynie na cięgi i szyderstwa, nietylko z obozu nieprzejednanych szowinistów polskich, ale i ze strony umiarkowanych.

Punkty 7 i 8 dotyczą sprawy wyborów i składu przedstawicielstwa najwyższej autonomicznej władzy wykonawczej. W zakresie pierwszego możliwem jest utworzenie proponowanego centralnego komitetu wyborczego, ale wątpliwą zgoda na prezesa. Wzbronienie urzędnikom mieszania się do wyborów byłoby tylko pochwały godnem; niezrozumiałem dla nas jest atoli, po trosze i śmiesznem, aby wybrani w ruskich okręgach posłowie polscy zaliczali się do rusinów i na odwrót. Z jakiego powodu i w jakim celu? Punkt 8 natrafiłby bezwątpienia na wielki opór że strony polskiej.

Pozostał mi jeszcze art. 10 do rozważenia. „Pismo—brzmi on—język, gramatyka, pisownia (co za porządek!) nie mogą być przedmiotem ustawodawstwa, oskarżeń, prześladowań..." Ach, któżby się z tobą nie zgodził zacna Rado!... Komuż zresztą na myśl przyjdzie badać w drodze urzędowej „pismo, język itd." odezw twoich do ludu, pismo i język, które nawet najgorliwsi twoi zwolennicy nie zawsze zrozumieć są w stanie!..

Jest atoli okoliczność, która nietylko pozwala, ale wprost wzywa władzę ustawodawczą do zaprowadzenia jakiegoś ładu w babilońskiej wieży języków ruskich Galicyi. Wolno *Słowu* i *Prołomowi* tak pisać, aby czytelnicy ich domyślali się tylko, o co właściwie chodzi redaktorom; ale skądże racya zmuszać wszystkich obywateli Galicyi wschodniej, aby wyuczywszy się w szkole języka czysto ruskiego i poświęciwszy mu *ne odnu hodynu* — wyuczali się znów następnie *w adin czas* mowy pp. Markowa i Płoszczańskiego, dlatego naprzykład, że pierwszy lepszy Łyzunowycz c. k. starostwa tę właśnie a nie inną uważa za czysto ruską... Wdanie się władzy ustawodawczej jest tu nieodzownie potrzebnem; nie ulega bowiem wątpliwości, że sami rusini nie pogodzą się w tej tak ważnej, bo zasadniczej, wprost o narodowości decydującej sprawie. Nie przypuszczam, aby rozstrzygnięcie językowo-ortograficznego pytania wypadło na niekorzyść stronników *Diła*. Rozstrzygnięcie to mogłoby oczywiście obowiązywać jedynie w szkołach i urzędach.

Ballon d'essai „Rady russkiej" prasa galicyjska przyjęła niemal obojętnie. Jedna tylko *Gazeta narodowa* zabrała głos i — zdziwisz się może czytelniku — zajęła stanowisko zgodne z *Prawdą...* Jak się to stało, nie pytajcie. Tyle wam tylko powiem, że wybuchło z tego powodu małe w łonie redakcyi nieporozumienie. Na drugi dzień pomieściła *Gazeta* temu samemu przedmiotowi poświęcony, drugi artykuł, w którym powien jakoby odwrót jest widoczny... *E sempre bene!...*

Bawi obecnie we Lwowie teatr ruski pod dyrekcyą pp. Hryniewieckiego i Biberowicza. Przedstawienia, jak dotychczas, ściągają liczną publiczność, także i polską. Między innymi książę Jerzy Czartoryski, znany ugodowiec, *gente* przecież *ruthenus*, zaabonował krzesła na cały szereg przedstawień, chociaż nie brakło takich, co nawoływali: *Ne chody Hryciu!...* Jak na ograniczone środki, którymi rozporządza spółka, skład personelu ruskiego teatru niewiele pozostawia do życzenia: wystawa nieświetna, ale i niezła, a przedstawienia idą gładko pod staranną reżyseryą p. Hryniewieckiego b. artysty teatru poznańskiego.

Rewera.

Z Heidelberga.

Wrzesień, 1883.

II.

O czem rozprawiano na posiedzeniach wydziału aryjskiego zjazdu oryentalistów. — Gromadna wycieczka do Hagi i Amsterdamu. — Uczta i pieśń indyjska. — Profesor Leger.

Przez pierwsze dwa dni posiedzeń wydziału aryjskiego, na zjeździe oryentalistów, trwały prawie wyłącznie rozprawy nad pochodzeniem abecadła sanskryckiego. Rzecz podrzędna i nudna. Wprawdzie po za nią kryła się ważniejsza — pytanie, bardzo obchodzące od pewnego czasu uczonych i bardzo żwawo dyskutowane: czy cywilizacya indyjska starszą jest od greckiej? Czy miała z nią styczność dziejową? Czy i ile grecy od indyan, a indyanie od Grecyi zapożyczyli? Dotychczas wierzono święcie w niezmierną starożytność kultury indyjskiej; dzisiaj ujawniają się prądy przeciwne: wielu mniema, że wedy są stosunkowo wcale niedawnego pochodzenia (to jest, że *spisano je* niezbyt dawno), że znaczniejsza część podań sanskryckich przywędrowała z Grecyi, że wogóle cywilizacya i piśmiennictwo indyjskie są młodszemi, niż dotąd myślano. Jeszcze głębiej pod tem pytaniem leży zagadnienie, niezmiernie żywo obchodzące nietylko oryentalistów: czy religia, która się zrodziła w Aleksandryi, wschodniego jest pochodzenia, czy też odwrotnie, buddyzm i filozofia indyjska z Grecyi i Aleksandryi początek wzięły? Tej ostatniej sprawy nie poruszano, ale przebijały się jej odgłosy i jej pobudki w skromnych na pozór rozprawach nad alfabetem. Ostatni zwrot w badaniach niemieckich, silnie zabarwiony konserwatyzmem i wstecznością, odbija się i na dochodzeniu infiltracyi cywilizacyjnej wschodnio-zachodniej; przeważa obecnie prąd, że tak powiem, grecko-aleksandryjski, to jest skłonność do upatrywania kolebki myśli ludzkiej nie w Indyach i Persyi, jak dawniej, ale w siedzibach heleńskich. Oprócz tej walki powiewów wschodnio-zachodnich, czuć się dawały głuche objawy nieżyczliwości indyan do swych nieproszonych cywilizatorów europejskich. Oburzali się oni na lekceważenie ich pisma sanskryckiego, z zapałem dowodząc niestosowności i niemożebności zastąpienia go łacińskiem. I tu pod osłoną abecadła wybłyskiwały ognie głębszego znaczenia. Widać też było niepohamowany antagonizm niemiecko-francuski. Co powiedział francuz, temu zaraz zaprzeczał niemiec i odwrotnie. Działo się to bardzo grzecznie i gładko, ale w drganiu głosu i wyrazie twarzy czuć było nieubłaganą nienawiść plemienną. Smutno pomyśleć, że namiętności polityczne przenoszą się w sferę tak neutralną, jak badania nad abecadłem indyjskiem. To przynajmniej pociesza, że pozory spokoju i przyzwoitości nie bywają naruszane.

W dalszym ciągu zajmowano się pytaniami i udzielano nowin bardziej interesującego charakteru. Rozdawano próbki nowego wydania Zendawesty przez Geldnera. Dyrektor muzeum Guimeta w Lyonie mówił o przekładach ksiąg indyjskich na język japoński. P. Speyer z Amsterdamu czytał dość mierną rozprawkę mitologiczną, a po nim p. Lignana z Rzymu zaciekawił słuchaczy, pokazując fotogramy z fresków pompejańskich; jeden z nich wyobrażał coś nakształt sądu Salomona, drugi coś podobnego do podania o Jonaszu; w długim odczycie (po niemiecku, z okropnym akcentem) starał się uczony włoch dowieść pokrewieństwa tych podań z wschodniemi niesemickiemi, przeciwko czemu konserwatywni niemcy, Roth i Weber, żwawo protestowali, siląc się dowieść, że podania biblijne muszą być uważane za alfę i omegę wszech rzeczy, a nawet i bajek. Później przemawiali francuzi Harlez i Bourquin pierwszy o wieku Awesty, drugi o ważności studyów nad kalendarzem indyjskim dla oznaczenia epoki wed. Wrócono raz jeszcze, z powodu przymówienia się L. Feera, do rozpraw nad abecadłem sanskryckiem, Leumann z Oksfordu poruszał niektóre zagadnienia z literatury indyjskiej; odczytano ustęp z memoryału nieobecnego Regnauda o przecenianiu roli studyów sanskryckich; młody cejlończyk czytał po angielsku rozprawę o filozofii wedantynów i szywaitów, Bauregard o imieniu singalejczyków; Führer złożył rozprawę arcykapłana parsów, Dastura Dżamaspdżi, o Ahuramazdzie; potem uproszono d-ra Leitnera (sekretarza uniwersytetu pendżabskiego oraz rektora kolegium rządowego i wschodniego w Lahorze*), aby stanął na czele stacyi, że tak ją nazwę, literackiej w Indyach i ułatwiał uczonym europejskim nabywanie i dostawanie dzieł, czasopism, rysunków, map itd., wychodzących w Pendżabie, a mogących obchodzić badaczów wschodu. Wreszcie odczytano memoryał nieobecnego uczonego indyjskiego Indradżi o napisie w Udajagiri, który on odnosi do II wieku przed Chr.; niżej podpisany podał skróconą treść rozprawki swojej „O wpływie języków wschodnich na polski," dr. Leitner objaśniał w sposób bardzo zajmujący rozwieszone na ścianach fotogramy, które przedstawiają wpływ greczyzny po-macedońskiej na pomniki budownictwa i rzeźby buddyjskiej w Pendżabie, a prof. Kern podał wniosek, jednomyślnie przyjęty, aby proszono rząd indyjski, żeby dostarczeniem zabytków sztuki indyjskiej, lub ich kopij, hojniej wzbogacać raczył muzea europejskie. Przemówienia prezesa, podziękowania przewodniczącym, ich pomocnikom i sekretarzom oraz ogólne pożegnanie z hasłem: do widzenia się w Wiedniu — zakończyły ostatnie posiedzenie oddziału aryjskiego.

Wspomniałem już, że kongres odbył duże zbiorowe wycieczki: do Hagi i do Amsterdamu na wystawę. Przejażdżki te do najprzyjemniejszych wspomnień każdy członek zaliczy: dopomagały one wzajemnemu zbliżeniu się gości i zawarciu sto-

*) Podaję tu dokładny adres francuski p. Leitnera, bo może się komu z naszych uczonych przydać: Dr. G. Leitner, Registrar de l'Université du Panjab et Recteur du collège du gouvernement et du collège Oriental à Lahore. Leitner ma i w Wiedniu rodzaj muzeum indyjskiego, bogatego szczególnie w fotogramy oryginalne

sunków, miłych i pożytecznych na przyszłość. Zajmującą było rzeczą słyszeć z ust naocznych a uczonych świadków opowiadania o Wschodzie; doprawdy więcej z tego dowiedzieć się czasami można, niżeli z długiej rozprawy lub podróży drukowanej. Pełno było ludzi, którzy po kilkanaście lub kilkadziesiąt lat spędzili w Indyach, Chinach, Japonii, na wyspach holenderskich, w Australii itd. Wspólny obiad w przedostatni dzień tygodnia kongresowego piękny przedstawiał widok. Około 250 osób w strojach galowych zasiadło we wspaniałej sali, przystrojonej drzewami i kwiatami. Na galeryach ze sto pań stanowiło niby drugi, piękniejszy jeszcze wieniec. Pod koniec uczty rozpoczęły się mówki i wiwaty, a wszystkie jakąś znakomitość lub jakąś myśl albo zasługę miały na celu. Wino rozwiązało języki, a wkrótce okazało się, że i worki biesiadujących. Bo gdy zeszły z galeryi dwie młodziuchne dzieweczki, z koszyczkami dla zbierania składek na ofiary wulkanów jawańskich, posypały się wszelkiego autoramentu monety: angielskie, francuskie, niemieckie i inne, a po obrachunku znalazło się tysiąc złotych holenderskich, czyli przeszło dwa tysiące franków. Charakter rozmów prawdziwie był oryentalno-międzynarodowy: mówiono najwięcej o wschodzie, a używano do tego wszelkich języków europejskich. Narodowości się mieszały, jak w błogiem marzeniu kosmopolity: obok smagłego indyanina siedział holender i francuz, a rozmawiali po angielsku. Mnie los umieścił pomiędzy p. Schleglem, profesorem języka chińskiego, a p. Birlingerem, młodym szwedem, pracującym przy poselstwie tureckiem w Londynie. Wreszcie gdy już się zabierano do odwrotu, prezydujący zadzwonił i prosił o ciszę, zapowiadając, że pandit Krisznawarma wygłosi wiersz sanskrycki, który ułożył na cześć kongresu. Ciekawość wywołała zupełną ciszę. Rozległ się dziwny śpiew, niby recytatywo, coś nakształt deklamacyi kantorów izraelickich, trochę smutny, trochę nosowy, niezmiernie oryginalny. Huczne oklaski podziękowały dalekiemu gościowi za tę próbkę rapsodyi indyjskiej i na tem się zakończyła biesiada.

Jak już nadmieniłem, najmilszem wspomnieniem i najcenniejszym nabytkiem na zjeździe, szczególnie dla nowicyuszów, jak ja, były znajomości z ludźmi niepospolitej wiedzy, które udzielają przywileju korzystania z ich rad, wskazówek i pomocy naukowych, a na razie odsłaniają wiele faktów i spostrzeżeń nieznanych. Miałem i ja tę przyjemność i wspomnę tu o kilku osobach, które udzieliły mi niektórych wiadomości i wyjaśnień, zasługujących na podzielenie się z czytelnikami.

Poznałem się bliżej z profesorem Ludwikiem Leger, nauczycielem języków wschodnich w Paryżu. Żałuję bardzo, że nie wszystko, com od niego słyszał, powtórzyć mi tu wolno. Przedewszystkiem zapewnić mogę, że p. Leger dobrze mówi po polsku i, jak uważałem z rozmowy, doskonale obeznany jest z piśmiennictwem, życiem, zaletami i przywarami naszemi. Ma się rozumieć, iż poruszyliśmy sprawę obojętności, a jak niektórzy twierdzą, nieżyczliwości jego ku nam. Leger obszernie mi mówił o powodach pogłosek, które nazywają go nietylko surowym krytykiem, lecz nawet nieprzyjacielem wszystkiego co polskie. Dowodził i popierał faktami, że opinię tę wyrobili o nim szowiniści nasi, których przesadnych marzeń i pretensyj nie mógł podzielać. Twierdził, że owszem serdecznie sprzyja młodszemu, postępowemu u nas kierunkowi; że doświadczył wiele niewdzięczności i niesprawiedliwości od niektórych naszych rodaków; że po ogłoszeniu pracy o Cyrylu i Metodym z różnych, wprost przeciwnych obozów posypały się nań oskarżenia z stronności, co dowodzi tylko prawości jego dla słowian usposobienia; że wszelki objaw postępowości i naukowości u nas obchodzi go i cieszy serdecznie i gotów jest o każdej pracy polskiej uczynić w pismach francuskich wzmiankę lub napisać referat, byleby mu ją nadesłano; że nie wykłada w szkole języków wschodnich mowy polskiej dlatego tylko, iż to nie odpowiada widokom politycznym i handlowym rządu francuskiego; że z tegoż samego powodu nie naucza i języka czeskiego; że fanatycy nasi i ludzie lekkomyślni starali się go w oczach naszych obmówić i spotwarzyć, na dowód czego wymieniał osoby i przytaczał fakta, o których... przemilczeć wolę.

Miałem też sposobność zbliżyć się z p. Bourquin'em, pastorem kalwińskim w Valsles-Bains, we Francyi południowej. Spędził on kilkanaście lat w Indyach, na służbie angielskiej, zna sanskryt i inne języki indyjskie doskonale i należy do rzędu najlepszych oryentalistów francuskich. Znajdujący się pod prasą tom zbioropisma *Annales du musée Guimet* da poznać czytelnikom obszerną pracę jego o wedach i kalendarzu indyjskim; bierze też udział w *Revue de l' histoire des religions* i zabierał często głos podczas rozpraw zjazdu. Człowiek bardzo miłego towarzystwa i niepospolitego ukształcenia teologicznego.

Pan Guimet, założyciel muzeum etnograficzno-mitologicznego w Lyonie, również miłym i skromnym jest pracownikiem; podróżował długo po wschodzie i zna doskonale ludy tameczne. Ile usług wyświadczył nauce, urządzając zakład swój ludoznawczy, o tem wiedzą wszyscy, kogo to obchodzi. Dyrektor zakładu tego, Milloué, oraz młody cejlończyk, o którym wspomniałem, towarzyszyli mu w wycieczce do Lejdy; wszystkich ich miałem przyjemność poznać.

W poprzednich listach moich pisałem o profesorze lejdejskim Tielem, autorze podręcznika dziejów religii; poznałem się z nim także; mówił mi, że przygotowany, jest przekład tego dzieła na język ukraiński, przez pana Pawluka.

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

Dymek na scenie i piekarnia Janowskiego. — *Echo muzyczne i teatralne.* — Sposób odbudowania spalonego teatru. — Obowiązek dla obowiązku. — Przeciwne zdanie sąsiada z za linijki. — Izba wyższa. — Instytucya arystokratyczna. — Ostrożnie z dymkiem. — Powodzenie książek wyklętych. — Broszura p. Buszczyńskiego i modlitwa Kraszewskiego. — Bagnety najeżone przeciw pobożności. — Uciszanie wiernych litanią. — Za przykładem wyznawców Rocheforta. — Następca Chrystusa.

Podczas jednego z widowisk w Teatrze Wielkim publiczność dostrzegła lekki dymek. Naturalnie przypomniawszy sobie wypadki w Wiedniu i Berdyczewie, już chciała się ratować ucieczką, gdy nagle ów dymek zniknął. Wybiegł on — jak się okazało — z piekarni p. Janowskiego, który pomimo świeżej a wymownej przestrogi, pomimo na różne tony powtarzanych *quosque tandem*, piecze ciągle swoje ciasta w gmachu teatralnym, gdzie mniej szczęśliwym nawet papierosa zapalić nie wolno.

Dymek ów powinien bardzo poważnie zająć nowonarodzone a raczej odrodzone *Echo muzyczne i teatralne*. Gdy żona arcyksięcia Rudolfa powiła drugiego spożywcę listy cywilnej, nie dano w Wiedniu tyle salw, ile ich zagrzmiało w Warszawie po zmartwychwstaniu tego tygodnika. Sprawa dziś stanęła tak drażliwie, że będą samobójcami własnej duszy ci, którzy go nie zaprenumerują. Chociaż po tylu zawodach zleniwiałem już bardzo względem wszelakich prospektów i nowych pism, jednakże usłyszawszy ten ogłuszający chór reklamy, chwyciłem za numer pierwszy *Echa* i—co przeczytałem — opowiem. Naprzód bardzo piękny artykuł p. t. „Otwarcie *sezonu*.“ Autor, rozmyślając nad spalonym Teatrem Rozmaitości, wzywa społeczeństwo do otoczenia go „zbiorową opieką.“ Rozumie zaś pod tym wyrazem nie operacye finansowe i nie składki, ale uczęszczanie na widowiska — „*nie dla zabawy, nie dla biesiady artystycznej*, nie dla błyśnięcia toaletą lub złożenia wizyty w antraktach, ale dlatego, że byt sceny miejscowej jest zagrożony, że potrzeba spłacić jej długi.“ Jak wiadomo, podobnie uzasadniał moralność stary Kant, twierdząc, że tylko spełnienie obowiązku bez żadnej przymieszki uczuć jest postępowaniem ściśle etycznem. Ponieważ mamy gotową zasadę, zajmijmy się więc rozjaśnieniem jej w przykładach powszechnie zrozumiałych. A więc spalona świątynia Melpomeny nie prędzej powstanie z gruzów, aż w domach naszych toczyć się będą następujące rozmowy:

Pan kupiec. Idźmy dziś do teatru.

Pani kupcowa. Daj mi pokój, znam już te sztuczki na pamięć.

Pan kupiec. Ależ mój aniele, kto w obecnym „sezonie“ chodzi do teatru „dla zabawy lub artystycznej biesiady.“ Trzeba spłacić długi sceny miejscowej.

Idą.

Pani hrabina. Co za miasto! Ani jednej rozrywki.

Pan hrabia. Jedźmy do teatru.

Pani hrabina. Fi! Jeszcze raz widzieć tłustego księdza z dziećmi w tej obrzydłej *Serafinie*!

Pan hrabia. Daruj pani, ale w obecnym „sezonie“ nie uczęszcza się na widowiska „dla zabawy lub artystycznej biesiady.“ Byt sceny zagrożony.

Jadą.

Takimże pobudkom ulegną studenci, robotnicy, lekarze, adwokaci — wszyscy, którzy rozchwytują bilety. Ale zanim się podniesie kurtyna, ten i ów kupi sobie pierwszy numer *Echa* a zaciekawiony tytułem, zacznie chciwie czytać artykuł p. Koźmiana p. t. „Nasza publiczność.“ I oto co w nim znajdzie: „Publiczność powinna chodzić do teatru dla teatru, nie zaś dla pobocznych celów. Wtedy tylko teatr jest prawdziwą dla niej potrzebą, kiedy ona *nie wie*, dlaczego do niego uczęszcza. *Wszelkie wspieranie* teatru przez publiczność, *chociażby z najzacniejszych powodów*, jest dowodem, że niema on prawdziwej sam w sobie racyi bytu.“ Tam do licha! P. Peltyn rozstrzygnąłby ten spór sąsiadujących z sobą w jednem piśmie i zaledwie linijką odgrodzonych autorów bardzo prostym i skutecznie przez niego w *Izraelicie* wypróbowanym środkiem: ogłosiłby na czele następnego numeru, że pomimo nadzwyczajnej czujności jeden z artykułów wydrukowany został bez wiedzy redaktora. Ale *Echo* tego nie uczyni i musi w społeczeństwie zasiać ziarno niezgody dwu stronnictw, z których jedno będzie chodziło do teatru dla zabawy lub artystycznej biesiady, drugie zaś dla spłacenia długów.

Ale kto tu, według nas, ma racyę? Stanowczo p. Koźmian, który w swej cennej rozprawce gruntownie wykazał przyczynę ubóstwa i niedoli polskich teatrów. Mianowicie giną one dlatego, że „w naszej publiczności teatralnej brak *izby wyższej*. Przyjrzyjmy się lożom i fotelom w Théâtre français lub w Burgu — powiada Stańczyk stańczyków krakowskich — a zrozumiemy, *dlaczego* to teatry doszły do *doskonałości*; zajmuje je bowiem *kwiat* społeczeństwa, arystokracya nietylko rodowa, ale także rozumu, nauki i wykształcenia; zajmują je księżne i margrabiny, akademicy, redaktorowie *Revue des deux mondes* (nieraz nawet *Czasu*), członkowie parla-

mentu, ministrowie, dwór... Właśnie ten brak izby wyższej w teatrach naszych sprawia, że publiczność, która do nich uczęszcza, niema ani przewódców *uprawnionych*, ani wytkniętego kierunku... Nie ulega (!) wątpliwości, że teatr... z natury swojej jest instytucyą *arystokratyczną. Świadczy* już o tem sam *rozkład miejsc* w naszych teatrach, w skutku którego najwyższe klasy społeczeństwa najbliżej znajdują się sceny." Jakkolwiek wywodowi temu nie zbywa na jasności, winienem go jednak kilkoma dopełnieniami utrwalić w pamięci czytelników. Mianowicie teatr jest rzeczywiście (grecy, ktorzy go stworzyli, innego byli zdania) instytucyą arystokratyczną, tak samo, jak każdy dom, w którym również blisko bruku mieści się „kwiat społeczeństwa" a dalej jego zielsko. Wdrawdzie najwygodniej siedzi ten, kto najwięcej może zapłacić, ale pieniądze w botanice stańczykowskiej są „kwiatem," bodaj czy nie najpiękniejszym. Ponieważ zaś nasza „arystokracya rozumu i nauki" odwiedza teatr bardzo często, właściwie zatem p. Koźmianowi idzie tylko o księżne i hrabiny. Wypowiada on nawet tę myśl otwarcie. „Gdybyś pani — mówi do damy wielkoświatowej — była stałym w teatrze gościem, twój *uśmiech*, twoje *zadowolenie*, oklaski lub *odwrócenie się od sceny* lub *choćby cicho do sąsiadki wyrażona nagana* byłyby wskazówkami i nauką" — jak się należy zachowywać w salonie. Co do dresury salonowej nie zaprzeczam „izbie wyższej" wpływu na aktorów; ale co do sztuki, to sądzę, że zdanie kontrolerowej lub referenta i całej „izby niższej." która pokończyła gimnazya i pensyonaty, może daleko lepiej oddziałać, niż wszystkie uśmiechy i zadowolenia hrabin i hrabiów, którzy nie widzieli szkoły. A nawet radzę, żeby z piekarni stańczykowskiej nie przedostawał się na scenę *Echa* taki arystokratyczny dymek, bo przestraszeni czytelnicy gotowi uciec. Popłoch zaś taki byłby tem bardziej niepożądanym, że redakcya wytężyła widocznie wszystkie siły, ażeby szczupły program swego pisma wyzyskać całkowicie. Treść pierwszego numeru blaha, bo niema w niej artykułów uderzających oryginalnością lub głębokością myśli, a nieszczęsne „głosy artystów"—oby się były nie wyspowiadały czcionkom drukarskim; ale w urozmaiceniu materyału, w formie znać niewątpliwą staranność. Nio należymy do tych, których od przybytku w prasie głowa boli; więc chociaż rozchwalone *Echo*, mimo p. Angela de Gubernatis (którego pobił zręcznością swego utworu p. A. Urbański) i P. Lindau, prawdopodobnie nowych widnokręgów estetycznych nie otworzy, życzę mu losu.. potępionej książki Drapera *Dzieje stosunku wiary do rozumu*, która wyszła już w drugiem wydaniu.

Czy szan. bigotki naszej prasy, a zwłaszcza przewodnik ich sumienia *Przegląd Katolicki* nie widzi w tym i tylu podobnych wypadkach fatalnego dla siebie objawu? Jest faktem, że ile razy jakaś książka ulegnie pobożnym napaściom, tyle razy jej nakład zostaje wkrótce rozchwytany. Pierwsza praca Drapera (*Dzieje umysłowego rozwoju Europy*) jest już dziś wyczerpana, druga rozeszła się w ciągu roku, chociaż *Przegląd Katolicki* przez parę miesięcy jej autora pod pręgierzem trzymał i nauki mu prawił. Czyżby powoli mijały piękne dni Aranjuezu dla dewocyi?

Może, ale nie łudźmy się zbyt, gdyż i broszura p. S. Buszczyńskiego *Kraszewski więzień i Niemcy* doczekała się drugiego wydania, chociaż jedno dla nakarmienia głodnych bezmyślnego krzykactwa było wystarczającem. Autor, widocznie człowiek zacny i do kraju serdecznie przywiązany, spełnił usługę niedźwiedzia z bajki; chcąc spędzić muchę z Kraszewskiego, zabił ją na jego czole kamieniem. Niewątpliwie chory na bezładne kojarzenie się pojęć, śród utyskiwań nad ortografią, geografią i armatami, usiłuje dowieść, że my jesteśmy — jakby powiedział p. Koźmian — „izbą wyższą" ludzkości, Kraszewski głównym bohaterem na scenie świata, a niemcy — siepaczami. „Jeden rozkaz — woła on — i siedemdziesięcioletni starzec, przed którym czoła chylą *mieszkańce całej kuli ziemskiej* w więzieniu!... Kraszewskiego mógł wydać *tylko* naród nasz. Uwięzić go mógł *tylko* tak nisko upadły naród, jak niemcy. W kraju zulusów, w kraju *najdzikszych ludożerców* nie dopuszczonoby się (!) takiego czynu, będącego zakałą *XIX wieku*... Uwięzienie Kraszewskiego będzie *wieczystą* plamę na tle *dziejów Europy*." Zaiste, znakomity i nieszczęśliwy patryarcha naszej literatury, przeczytawszy broszurę p. Buszczyńskiego, mógł zawołać i pewnie przerażony nią zawołał niedawno w pismach: „Boże, broń mnie od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę." Toż samo powtórzyć może naród, na korzyść którego niefortunny autor wytłomaczył „wyroki opatrzności." Już to te komentarze do kodeksu boskiego zawsze nam się nie udawały.

I może właśnie z tego powodu chyba dla ultramontanizmu mijają piękne dni Aranjuezu. Przed kilku dniami papież przyjmował w bazylice św. Piotra 15,000 pielgrzymów. Gdym wyczytał, że przy portyku gwardya palatyńska stała „z najeżonymi bagnetami," nie rozumiałem, co znaczy ta groźna postawa wojsk watykańskich. Usprawiedliwia ją wszakże list jednego z pątników, zamieszczony w *Kuryerze Warszawskim*. Zanim przybył Leon XIII, niepokój oczekujących tłumów zaczął tak wzrastać, że aż „zaintonowano litanię do świętej Dziewicy." Jeżeli pobożni pielgrzymi tak się zachowują w kościele, czy można brać za złe paradyzowi, że tupie, zniecierpliwiony wyczekiwaniem podniesienia się kurtyny, i że go orkiestra musi uspakajać walcem? Ale czytajmy dalej korespondencyę prawowiernego organu. Wniesiono papieża. „Chwilę tylko trwała cisza. Znowu wzmógł się zamęt i hałas bezprzykładny. Straże okazały się bezsilnemi. *Wzięto szturmem* oltarze i słynny konfesyonał srebrny... Ozwał się płacz gniecionych dzieci. Przewódcy pielgrzymów poczęli wznosić gromkim głosem: „Niech żyje *król*! Niech żyje prawdziwy *imperator Romy*!" Wrzawa nie ustawała nawet w chwili, gdy ojciec św. podniósł się z tronu, aby odpowiedzieć na przemowę prezesa komitetu. Pomimo upominań tajnych podkomorzych i komendantów gwardyi zgiełk panował taki, iż wyrazy Leona XIII zgubiły się w jego odmęcie."

Obraz ten bardziej nam chyba przypomina burzliwe konferencye Rocheforta, niż religijne nauczania św. Piotra. Inaczej sądzi papież. Patrząc na ten tumult, rzekł on: „Wielki korowód pielgrzymów świeckich — przynosi *zaszczyt* Włochom i papiestwu." No, chyba Włochy w tym „zaszczycie" swojej połowy się zrzekną.

O, tak mijają piękne dni Aranjuezu dla ultramontanizmu, bo w kościele Chrystus musiał ustąpić miejsca „prawdziwemu imperatorowi Romy" a pobożna rzesza pijanym awanturnikom. Przed świątynią, w której Jezus nauczał, nie stała żadna „gwardya z najeżonymi bagnetami."

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Zbroja postępu i szlafrok konserwatyzmu — Nowa szata *Echa Łomżyńskiego*. — Energiczny kulturträger i oburzenie ziemian. — Słuszne czy nie słuszne? — Wierność tradycyom *Mosk. Wied.* — Ewentualny nabytek dla prawosławia. — Przemysł niemiecko-polski w Amsterdamie. — Słówko do *Korespondenta Płockiego*. — Zakończenie.

W pełnym bojowym rynsztunku, z hartownym mieczem nowych poglądów, z hasłem: „za prawdę!" wystąpił niegdyś do boju w Łomży. Roje liliputów, których blask oręża raził zbytecznie, obsiadły rycerza, piszcząc mu krzykliwie nad uszami, łaskocząc po gardle i pokazując języki. Znużony uległ więc w walce i zasnął. Dzisiaj ma się obudzić, ale zamiast zbroi przywdziać chce wygodny szlafroczek konserwatyzmu — jak Boga kocham — konserwatyzmu.

Taką wzmiankę o *Echu Łom.* umieści kiedyś dziejopisarz w rocznikach naszego czasopiśmiennictwa. *Echo* ma powstać w „zmienionej szacie" jako *organ konserwatywny*. Konserwatyzm!... Ileż słodkich wzruszeń w tem jednem słowie! Jest w niem coś nakształt szlafmycy i znów coś z pierzyny. Słychać woń czarnej kawy i zapach pieczeni z czosnkiem, jakieś cudowne szmery, jakby szelest skrzydeł anielskich albo—listów zastawnych.

Czy *Echo* było postępowem? Tak, ale cóż to właściwie znaczy u nas pismo postępowe?

Z szumiącej fali życia Zachodu do nas od czasu do czasu tylko zalatują kryształowe bryzgi i szumy. Atmosferą niepodległej, nieprzedajnej myśli nie lubimy a często i nie możemy oddychać. Starych podwalin ustroju nikt u nas nie burzy otwarcie. Przeciwko religii, przeciwko własności, przeciwko rodzinie nikt głosu nie podnosi. Postęp nasz jest więc tylko protestem przeciwko martwocie i zgniliźnie starości. Takim też był postęp *Echa*. Czy wyznawało ono ateizm, socyalizm? Nie — ale, w łakomstwie księdza, w lenistwie szlachcica widziało takie same grzechy śmiertelne, za jakie prostaczkom kazano iść do piekła. Było nawet dość względnem, gdyż dawało winowajcom możność oczyszczenia się w ogniu opinii.

Wobec tego, czemże jest nasz konserwatyzm? Odpowiem wprost na to pytanie. Konserwatyzm nasz jest złudnym motylem, którego poczwarką — gruby egoizm. Jest to możność wypędzenia parobka ze dworu bez sądu i sprawy, obdarcia wdowy przy zwłokach jej męża, obniżenia płacy głodnemu wyrobnikowi. Przeciwko temu tylko walczyło *Echo*, które się myje teraz dla włożenia „nowej szaty."

Tak jest, panowie konserwatyści! Przestańcie nadużywać wyrazów. Zrozumiejcie, że coraz mniej już będzie naiwnych, którzy nie wiedzą, co wy właściwie przechowujecie i o jakie „formy bytu" wam chodzi. Zrozumiejcie, że wśród żywych organizmów społecznych my już i dzisiaj wyglądamy, jak zasuszone „konserwy."

Brak sił żywotnych nie pozwala nam zdobyć się wobec germanizujących nas niemców na coś innego, jak na żałosne wykrzykniki. Nową ich seryę przeczytałem niedawno w *Kuryerze Codziennym*, utyskującym nad gospodarką niemiecką w okolicach Turka. „Wraz z miastem tak silnej ulegają one germanizacyi, że zaliczyć je można śmiało do rzędu takich ognisk niemieckiej „kultury," jak Łódź, Zgierz, Ozorków itp." Dobrze przynajmniej, że choć porównania czerpać możemy z naszej własnej ziemi... „Gdzie interes społeczny daje się wyzyskać na korzyść jednostek, tam oni są i to pierwsi, gdzie zaś wymaga ofiar materyalnych lub choćby tylko moralnego poparcia, tam niemców ani na lekarstwo..." Czasem stosunki niemca-gospodarza, powiada *Kuryer*, przypominają stosunek plantatora do murzynów. Pewien kulturträger, podejrzywając parobka o kradzież sieczki, lecz nie mając dowodów winy, obił go i wypędził ze służby. Parobek udał się do sądu, który „uznaw-

szy, iż kradzież nie była udowodnioną, pobicie zaś nie ulegało zaprzeczeniu... uwolnił właściciela majątku od wszelkiej odpowiedzialności, a parobka z jego pretensyami odesłał „do łaski jaśnie wielmożnego dziedzica.“ Wyrok ten przez okolicznych obywateli przyjętym został z powszechnem oburzeniem.

Zachodzi teraz pytanie, czego się ci obywatele tak burzą? Wszak równość wszystkich stanów wobec prawa jest wymysłem nowożytnym, niemającym nic wspólnego ani z tradycyą, ani z konserwatyzmem. Przeciwnie. Co pan, to pan; co cham, to cham! Pan jest przedstawicielem narodu i stoi przecie na straży (na straży pana stoi pachciarz), a chłopek, poczciwy kmiotek jest od tego młodszym bratem, aby się z nim obchodzić po ojcowsku, t. j. „rózgi nie znalazł i kijem go obił.“ To się nazywa myśleć i mówić konserwatywnie. Twierdzę najpoważniej, że oburzenie ziemian tureckich zdradza już pewną chwiejność ich zasad konserwatywnych.

Niemniej wiernymi tradycyom pozostali nasi przemysłowcy na wystawie w Amsterdamie. Obdzielono nas nagrodami dość obficie, zwłaszcza za to, żeśmy przysłali na wystawę dużo produktów niemieckich. W liczbie kikunastu nagrodzonych jest jeden tylko, czy dwu polaków. Nie dziwi mię to zresztą, bo jak wiadomo, „my“ jesteśmy „krajem wyłącznie rolniczym“ a niemcy i żydzi, to przecie przebiegłe istoty, które w naszej własnej *Łodzi* łowią dla siebie złociste karpie i szczupaki.

Nie dziwię się też temu, co wprawiło w zdumienie *Korespondenta Płockiego.* „W pewnej miejscowości wójt egzekwował zaległość podatkową, ciążącą na jednym z kmieci. Egzekwowany, nie poprzestając na zawiadomieniu, iż zaległość żądaną już zapłacił, dodał charakterystyczne zastrzeżenie, że w razie „niepozostawienia go w spokoju,“ będzie zmuszony „cofnąć głos,“ dany wójtowi na ostatnich wyborach. Oto pojęcie o głosowaniu!

Jeżeli starsi nasi bracia cofają swe „głosy“ i prenumeratę dziennika postępowego za to, że ich napędza do spełniania obowiązków — to cóż dziwić się chłopu! Zresztą, zacny *Korespondencie*, pogróżka chłopa jest bardziej smutną, niżby się tobie nawet zdawało. Dowodzi ona, iż na posady najzaszczytniejsze nawet patrzy się u nas jak na dojne krowy, których odebranie komuś może być wielką karą. Czy pogląd taki jest na czemkolwiek oparty? Nie wiem; skądby wieśniak mógł wiedzieć o łapówkach!

Na zakończenie niech mi wolno będzie przesłać serdeczne słowa zachęty i uznania nauczycielowi ludowemu w Wiślicy. Miejscowy przybytek szkolny — dzięki staraniom tego pedagoga — zamiast dawniejszych kilkunastu uczniów, posiada teraz 150. Więcej takich pracowników, a przestaniemy być „konserwami.“

Maryan Bohusz.

Lublin. Odbył się tu zjazd wychowańców i przewodników słynnego niegdyś gimnazyum szczebrzeskiego. Chociaż nie byliśmy świadkami tego serdecznego spotkania, nie sądzimy wszakże, ażeby — jak utrzymuje jedno z pism warszawskich—sędziwi nauczyciele poznawali swych uczniów tylko po przypomnieniu sobie wzajemnem rozdzielanych i odbieranych kar cielesnych.

Łódź. Fabrykanci miejscowi wystąpili do Towarzystwa opieki nad przemysłem w Petersburgu z dwoma wnioskami: zaprowadzenia toru szerokiego na kolei z Koluszek do Łodzi i odrzucenia uchwały warszawskiego zjazdu górniczego co do podwyżki cła od węgla z zagranicy.

— Ponieważ miejscowa szkoła nie może pomieścić wszystkich zgłaszających się do niej, znaczna więc liczba uczniów zaczyna się kształcić za granicą.

Sulejów. Na folwarku Owczary odkopano cmentarz pogański.

W Pratulinie (gub. siedleckiej) odbył się zjazd ziemian podlaskich. Obradowano — jak donosi *Kuryer Codzienny* — nad środkami rozwoju gospodarstwa rolnego wogóle, spółkami handlowemi i poprawą dróg. Uchwalono: zawiązać spółkę zbożową, założyć w Białej sklep z żelazem, zawrzeć umowę z technikiem o przeprowadzenie umiejętnego urządzenia lasów.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 10 października.

Wygwizdanie króla Alfonsa, jak to przewidywaliśmy, nie wywołało wcale interwencyi dyplomatycznej. Rada ministrów w Madrycie postanowiła wprawdzie przesłać notę do rządu francuskiego, ale postanowienie to nie doszło do skutku. Nawet poseł hiszpański w Paryżu nie przyjął propozycyi p. Ferrego i nie wytoczył procesu— a tylko w takim razie razie demonstranci według praw francuskich mogliby być karani za obelgę, teraz zaś odpowiadać będą jedynie za zakłócenie spokoju publicznego. Pomimo to awantura doprowadziła do nieprzewidzianych rezultatów. Minister wojny, generał Thibaudin, znany ze swych radykalnych przekonań, umyślnie usunął się od powitania króla Alfonsa; skorzystał z tego p. Ferry i pozbył się wreszcie kolegi, którego obecność w gabinecie była dlań solą w oku. Thibaudin ustąpił, ale przedtem wystosował list do Grevego, oskarżając swych współtowarzyszów o różne intrygi. Prasa ministeryalna skierowała swe napaści również przeciw p. Wilsonowi, zięciowi prezydenta, a nawet przeciw temu ostatniemu, obwiniając ich, że dwuznacznem postępowaniem spowodowali owo gorszące zajście, które mogło narazić bezpieczeństwo kraju. Prezydent, żeby ocalić honor i stanowisko zięcia, poświęcił Thibaudina; nie chciał zresztą wywołać przesilenia ministeryalnego, chociaż po zwołaniu Izb trudno go będzie uniknąć. W Tonkinie bowiem pomimo rozgłaszanych zwycięstw położenie rzeczy nie polepsza się a zatarg z Chinami nie zbliża się wcale do polubownego załatwienia.

Jeżeli książę Bismark miał zamiar, jak mu to przypisują, przez zamianowanie króla hiszpańskiego pułkownikiem ułanów, wywołać oburzenie patryotów francuskich i doprowadzić obie strony do zerwania stosunków, to zamiar jego chybił. Wprawdzie burza w Paryżu wyładowała się a o mało nie przyszło do podobnej w Madrycie; wprawdzie królowi Alfonsowi wyprawiono owacye, wyrażające współczucie i miłość poddanych, rozsądniejsi jednak i trzeźwiejsi przedstawiciele obu narodów nie poszli na zastawioną wędkę i ze wszech sił starają się złagodzić wrażenie tego wypadku. Nawet półurzędowa prasa hiszpańska wystąpiła w tym duchu, twierdząc, że król nie wiedział wcale o tem, iż ofiarowany mu pułk stoi w Strasburgu. Cesarz Wilhelm ze swej strony mimowolnie może przyczynił się do wyjaśnienia właściwego charakteru tej sprawy. W liście do króla Alfonsa zaznacza bowiem wyraźnie: „Wiem, iż obelga wymierzoną była raczej przeciw mnie, aniżeli przeciw tobie.“ O tem nikt chyba nie wątpił.

Książę bulgarski emancypuje się coraz bardziej. Nowe jego rozporządzenie nakazuje wojsku powtórzyć przysięgę, tym razem tylko na wierność jemu i konstytucyi. Zgromadzenie narodowe postanowiło również, że minister wojny ma tylko zarządzać administracyą armii, naczelne zaś dowództwo należy do księcia; tym sposobem ugoda militarna, orzekająca, iż ministrem wojny może być tylko rosyanin, traci całe swe znaczenie. Po uchwaleniu konwencyi kolejowej zgromadzenie będzie odroczonem na miesiąc; dotychczas pomiędzy księciem i przedstawicielami narodu panuje zgoda, mówią jednak, że pod przewodnictwem powróconych z wygnania Karawełowa i Sławejkowa tworzy się partya radykalna, która stanąć ma przeciw rządowi w bezwzględnej opozycyi.

Nowo utworzony gabinet serbski zarządzać będzie sprawami tymczasowo, prawdopodobnie do zwołania nowej skupczyny; teraźniejsza bowiem natychmiast po odczytaniu ukazu królewskiego została zamkniętą. Jednocześnie dla uniknięcia powstania rząd nakazał rozbrojenie milicyi.

Lwów. Do sejmu miała być wniesiona petycya, żądająca utworzenia narodowego pospolitego ruszenia dla odparcia ewentualnego najścia. Podobno projekt powstał dawniej w sferach rządowych, ale dziś je przeraża.

— Sejm odrzucił wniosek udzielenia rektorowi Politechniki głosu w sejmie.

Paryż. Według *Figara*, Francya po za plecami Chin zjednała dla siebie Czarne Flagi (powstańców) i posunęła się w zdobyczach.

— Ministrem wojny mianowany gen. Campenon.

Petersburg. Pogrzeb Turgeniewa odbył się z wielką uroczystością. Wzięło w nim udział 180 deputacyj, a niesiono przeszło 200 wieńców. Nad mogiłą przemawiali: rektor uniwersytetu petersburskiego Beketow i moskiewskiego Muromcew, oraz literat Grigorowicz.

Peszt. Mordercy Majlatha (Berecz, Sponga i Piteli) skazani zostali na śmierć.

Sofia. Na ministra wojny wykonano zamach — bez złych następstw.

CUDZE GŁOSY.

W sprawie pospolitego ruszenia, którego projekt przemknął po pismach galicyjskich, usprawiedliwiany potrzebą zabezpieczenia wchodniej ściany austryackiej na wypadek wojny, tak się rozumnie odzywa *Dziennik Poznański*:

„Jakiekolwiek mogą być pobudki autorów i inicyatorów podobnej petycyi, jakiekolwiek mogą być poglądy i zapatrywania się na możność i prawdopodobieństwo inwazyi rosyjskiej do Galicyi, tyle przecież rzeczą pewną i każdemu, kto się dojrzalej nieco zastanawia, jaśniejszą od białego dnia, iż dopóki Austrya rządzi w Galicyi a nie znajduje się z Rosyą już w stanie wojny, czy przynajmniej w przededniu wojny, o uwzględnieniu takiej petycyi mowy być nie może.

Nie wiadomo nam, czy Austrya ma istotny zamiar rozpoczęcia wojny z Rosyą; ale co rzeczą pewną, to że gdyby go nawet miała, takie wznoszenie hałasu przed wojną wcaleby jej na korzyść nie poszło, rzeczywistej siły w niczemby jej nie dodało, a wychodziłoby na krzyk, odstraszający wilka od pójścia ku przeznaczonemu dlań dołowi.

Oczywistość tak pod tym względem wyraźna, że zapewne nie ma nikogo, coby jej przy bliższem, powtarzamy, zastanowieniu nie chciał rozumieć. Nie przesądzamy przyszłości i nie mówimy nic o potrzebach i konieczności, jakie pewne dane chwile mogą wywołać. Dzisiaj jednakże kompromitowałby nasamprzód podobny krok najniepotrzebniej Austryą wobec Rosyi, a w dodatku wprawiałby sam kraj w stan fermentu, bardzo nieodpowiedniego jego rzeczywistym a dzisiejszym potrzebom.

Wolimy doprawdy, jeżeli się w niej organizuje oświata publiczna, jeżeli w niej postępują i rozwijają się rozmaite instytucye publicznego dobra i publicznej użyteczności, słowem jeżeli się dzieje wszystko to, co nauczy lud kochać ojczyznę, a obronę jej i wszelkie na ten cel pospolite ruszenia uczyni spontanicznym (?) miłości kraju objawem. Rzecz to zresztą jasna i zrozumiała nam wszystkim, a trzeba istotnie tylko złej wiary i nienawiści dziennikarstwa niemieckiego, aby z tej drobiazgowej sprawy robić według praktykowanego zwyczaju zbiorowy znów jakiś objaw akcyi i agitacyi polskiej. Wszakże w kraju i narodzie swobody konstytucyjnej wolno nie tylko mieć różne pomysły, zachcenia i żądania, ale wolno też dawać

im wyraz przez zwracające się do rządów, sejmów i odpowiednich instancyj petycye i prośby. Co z takiemi żądaniami uczynią panujące względy i potrzeby polityczne, to rzecz inna naturalnie."

Elegia ludożercy. Berlińska *Post*, skarżąc się na nieprzyjaźń Rosyi do Niemiec i na stracony dla Germanii posterunek w Czechach, tak śpiewa:

„Gdyby na nas patrzeć mogły wieki średnie, toby także badały zdumione, czem się to dzieje, że w stuleciu tak oświeconem, w epoce tak niespodzianego postępu materyalnego, który jednoczyć ma narody— ni stąd ni zowąd każdy ludek domaga się niezawisłości, że wyparte być mają *wspaniałe języki cywilizacyjne, dla zrobienia miejsca narzeczom barbarzyńskim*, których nie rozumie nikt po za granicą i nie zrozumie nigdy. Równocześnie uderza w oczy dążność do wielkiego zespolenia ras, a dążność ta więcej jeszcze zagraża powszechnemu pokojowi. Oba prądy najwidoczniejsze w Słowiańszczyźnie; z tej przeto strony grozi nam bez przerwy niebezpieczeństwo, któremu poważnie trzeba zajrzeć w oczy."

Zaglądajcie, zaglądajcie w oczy owym „ludkom" słowiańskim, na których ciele jak pasorzyty wyrośliście, może przecie w ich wzroku wyczytacie tak zasłużoną przez was wzgardę!

SINE IRA*).

201 numer *Wieku* przekazał potomności pełną szlachetnego oburzenia, sążnistą odpowiedź pana Romana Plenkiewicza na recenzyę „pomnikowego wydania dzieł Jana Kochanowskiego" (*Prawda*, nr. 28), w której, oddawszy należną cześć głównym sprawcom cennej publikacyi, zwróciłem pobieżną uwagę na słabe strony „przedmowy" i komentarzów „2 giej księgi pieśni."

Szanowny objaśniacz Jana z Czarnolasu dowiódł jak na dłoni, że „nie posiadam *zmysłu* do kontrolowania *myśli* (harmonia stylu właściwa „naszym wybranym")... *Jana Kochanowskiego i słów piszącego przedmowę* (t. j. p. Romana P.)." Tak szczególnem dotknięty kalectwem, nie odważyłbym się już nigdy zaglądać do wskazanej Apokalipsy wiecznych tajemnic, gdyby nie przypuszczenie, że pomiędzy psychiatrami publicystyki warszawskiej znaleść się mogą ludzie, wobec których niżej podpisany pojmuje cokolwiek twórcze słowa Kochanowskiego (wiek XVI), zgłębia zawrotne poglądy Plenkiewicza (ostatnia ćwierć wieku XIX), ale dwu tych potęg, jako siebie nawzajem godnych i, niby Szekspir z Gerwinusem, na jednej postawionych linii w żaden sposób zrozumieć nie może.

Polemikę ze wsławionym bohaterem chwili jubileuszowej, którego nikt pewno z *zasług przed narodem obedrzeć* się nie ośmieli, uważam za próżny, do niczego nieprowadzący, rozgwar. Chcę jedynie zwrócić uwagę czytelników na to, jak dzielnie ów kapłan delficki, uprzywilejowany znawca pism Kochanowskiego „parafrazuje" słowa swej wyroczni.

Jan z Czarnolasu śpiewa:

„I szkoda żyć człowiekiem, kto bydlęce żyje,
Tkając, lejąc w się wszystko, póki zstawa szyje:
Nie chciał nas Bóg położyć równo z bestyami,
Dał nam rozum, dał mowę, a nikomu z nami.
Przeto chciejmy wziąć przedsię myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie:
Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże."
(*Pieśni*—II, 19).

Pan R. P., tłomacząc podkreślony dwuwiersz na głęboko-filozoficzną prozę, myśl poety ze szczególną w „przedmowie" oddaje wiernością: „*takie jedynie sprawy godne są myślącego człowieka* (*Risum teneatis amici!*), *które nietylko ludzie na ziemi, ale i Bóg na niebie za wielkie i ważne poczyta.*"

Porównajmy słowa „Sibilli" z wykładem augura. Najznakomitszy wieszcz polski z doby „odrodzenia" odwodzi w tej pieśni współziomków od gnuśności bydlęcej, od śpiączki nikczemnej, a zachęca do czynów szlachetnych, do krzątania się na przeróżnych polach pracy społecznej. „Etyczna dążność utworu ogólno-ludzka („ne silentio transeamus vitam...") i patryotyczna, ozdobiona właściwym Kochanowskiemu, przezroczystym nimbem religijnym. Pieśniarz pragnie rozruszać, ożywić, uzacnić swą rzeszę, ale jej do przybytku tajemnic olimpijskich przenosić nie ma zamiaru..."

Pod piórem bohatera chwili dzielna, praktyczna myśl poety zamieniła się w absurdum, którego wieszczowi czarnolaskiemu żadną miarą przypisać nie mogłem. Za to nazwano mię *nieukiem*. Komu z nas dwu tym razem podobny epitet przystoi, niechaj sam p. R. P.. jako dobry chrześcianin w głębi ducha swojego odpowiedzieć zechce.

Do zarzutów, jakie w pobieżnej recenzyi przeciw komentarzom pana R. P. ośmieliłem się wygłosić, dodam tylko jeden szczegół. Na str. 319 wyraz „koń" (w zdaniu: „obróć *swój koń* prędkonogi") opatrzono dopiskiem: „dawna forma biernika z *zakończeniem* mianownika" (jakby mianownik miał jakie zakończenie przypadkowe!). Usterka dana z tego głównie względu zasługuje na uwagę, że objaśnienie starożytnej formy 4 go przyp. posiada w dziele pomnikowem swój poprawny, że tak rzekę, duplikat — w komentarzach *I-szej cz. Psałterza* (str. 32). Dziwić się więc wypada, dlaczego zbiorowa, czy dyktatorska władza komitetu redakcyjnego, która p. P. narzuciła owo nieszczęsne *zakończenie* mianownika, okazała się łaskawszą dla jego kolegi.

Pozostawiając pytanie to bez odpowiedzi, oświadczam, iż replice (o ile ją szanowny krytyk uzna za stosowną) milczenie tylko z mej strony towarzyszyć będzie *).

A. G. Bem.

*) Spóźnione — z tego powodu, że współpracownik *Prawdy*, mieszkający w Kielcach, nie jest ani prenumeratorem, ani stałym czytelnikiem *Wieku*.

*) Do tej repliki winniśmy dodać drobne objaśnienie. Odpowiedź p. Plenkiewicza ukazała się w *Wieku* z dopiskiem, uwiadamiającym, że redakcya *Prawdy odmówiła* pomieszczenia polemizującego artykułu. Otóż przy sposobności prostujemy, że redakcya nasza wcale nie odmówiła, lecz tylko żądała od p. P. usunięcia paru ustępów, zabierających naszemu pismu dużo miejsca, a nienależących do rzeczy. *Pr. Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowe rozporządzenie. Warszawski oberpolicmajster ogłasza z upoważnienia generał-gubernatora, iż na mocy 100 § ustawy dla uniwersytetu warszawskiego studenci obowiązani są nosić mundury nietylko w gmachu uniwersyteckim, ale i po za obrębem jego.

Odbudowanie Teatru Rozmaitości uległo zwłoce z powodu braku odpowiednich funduszów; dopiero po otrzymaniu pozwolenia na podniesienie 25.000 rs. zapomogi z sum miejskich roboty posunęły się naprzód, ale nie prędko się skończą. O upiększeniach nie ma mowy, idzie tylko o najprędsze doprowadzenie sali do takiego stanu, żeby odbywać się mogły widowiska. Mieszkania prywatne na piętrach zostały zniesione, natomiast urządzono kontramarkarnię i bufety oraz rozszerzono korytarze.

Szkoły. Według *Nowosti* powstał w sferach rządowych projekt zwiększenia wpływu duchowieństwa na szkoły początkowe.

P. Lindley, ciągle nieobecny kierownik kanalizacyi w Warszawie, jest starannie poszukiwany przez pisma warszawskie, jak kwiat paproci. Znajdzie się chyba wraz—z konstytucyą turecką.

Muzyka. Nowa operetka Straussa *Noc wenecka*, wysykana w Berlinie z błahego powodu (zwrotki „walca na lagunach" kończą się dźwiękiem *miau*, który prusaków pobudził do kociej muzyki), została dla powetowania krzywdy entuzyastycznie przyjęta w Wiedniu.

Kolej Terespolska dla założenia drugiego toru musiała przyjąć ofertę zakładów briańskich, gdyż — jak donosi *Gazeta Polska* — fabryki krajowe stawiały warunki zbyt wygórowane. To nam nie przeszkodzi skarżyć się na upośledzenie przemysłu miejscowego.

Wędrowne ptaki. P. Modrzejewska nie wraca do kraju, lecz naśladując aktorki francuskie, w osobnym pociągu z własną trupą puszcza się w podróż po Ameryce. Wszystko to dla dobra sztuki polskiej i patryotyzmu.

— Podobnież i p. Mierzwiński w przejeździe do Petersburga nie zawadził o Warszawę.

Prasa. Zaczął wychodzić w Warszawie *Tygodnik kucharski*. Specyalizujemy się!

Sprawcą pożarów w Dorpacie okazał się student miejscowego uniwersytetu. Aresztowany.

Potrzeba prawdy. Zagraniczne pisma polskie rozpuściły niedawno wieść, że niejaki Władysław Kaczanowski ze Lwowa, uzyskawszy na zasadzie manifestu pozwolenie wrócenia do Królestwa i przyjęty bardzo grzecznie na granicy przez oficera żandarmskiego, został później za odgrzebane winy z 1863 r. aresztowany. Otóż *Czas* prostuje tę wiadomość doniesieniem z wiarogodnego źródła, że Kaczanowski po powrocie nie był nawet przez władze warszawskie zaczepianym i pozostaje ciągle wolnym. Ponieważ tego rodzaju kłamstwa mogą odstraszyć niejednego z wychodźców, pragnących skorzystać z manifestu, potrzeba więc prawdy przedstawia się chyba dotykalnie.

— Drugi fakt. Dzienniki rosyjskie, a za nimi polskie doniosły, że w gimnazyum IV nauczyciel został czynnie zelżony przez ucznia, którego za to administracyjnie wysłano do Turkiestanu. Otóż *Dniewnik Warsz.* oświadcza, że ostatni szczegół jest fałszywym, gdyż sprawa oddana została na drogę sądową.

Uniwersytety. Wiadomość *Rus. Kuryera* o zamiarze rządu ograniczenia liczby studentów jest—według *Petersb. Wiedomostiej*—jesienną kaczką.

Słownictwo polityczne. Pierwszy departament Senatu, jak donoszą gazety rosyjskie, osobną uchwałą wyjaśnił szeroko rozciągane znaczenie wyrazu „nieblahonadieżnyj." Otóż za „nieblahonadieżnych" należy uważać tylko tych, którzy „ujawnili działanie, dążące do obalenia istniejącego porządku państwowego, społecznego lub ekonomicznego," nie zaś do ulepszenia go w rozmaitych gałęziach.

Otwieranie korespondencyi prywatnej, według świeżego objaśnienia Senatu, uprawnione jest tylko wtedy, kiedy adresat znajduje się w stanie oskarżenia. W innych razach otwieranie listów należy uważać za nadużycie.

Sprostowanie. W spisie studentów nagrodzonych medalami opuszczony został p. Marek Borkowski, który otrzymał złoty medal za rozprawę: *Stan polityczny Polski w XI wieku według kroniki Galla.*

— Sekretarz IX rewiru sądu pokoju X, Bilewicz i pomocnik jego skazani zostali za zniszczenie w celach zysku aktów i podań, pierwszy na zesłanie do Syberyi a drugi na więzienie.

Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu wysłuchało odczytu K. Jarochowskiego o stronie politycznej zwycięstwa Jana III pod Wiedniem. Prelegent — jak donoszą pisma poznańskie—starał się wykazać, że wyprawa owa, świetny czyn dzielności oręża polskiego, była nadto niemniej czynem mądrości, konieczności politycznej i wypływem politycznego interesu Polski. Sobieski przez pierwsze lata panowania swego wiązał się z Ludwikiem XIV i Szwecyą, pamiętał o obrachunku z Brandenburgią, pragnął odzyskać dla Polski księstwo Pruskie i brzegi morza Bałtyckiego. Myślał nadto o odzyskaniu Szląska, o unii federacyjnej z Węgrami i utworzeniu absolutnej monarchii w Polsce. Intryga domowa w połączeniu z brandenbursko-rakuską i widokami Rzymu zwichnęła te szerokie plany. Odtąd to zwróciła się działalność Sobieskiego w inną stronę; ujrzał on konieczność odwrócenia niebezpieczeństwa groźnego Polsce ze strony Porty ottomańskiej. Wypra-

wa wiedeńska była kulminacyjnym wypadkiem tego nowego zwrotu politycznego. Zwycięstwo raniło Islam w serce, otoczyło Polskę na długie wieki aureolą bohaterstwa w usługach chrześciaństwa i cywilizacyi europejskiej — w dotykalnym zaś zysku przyniosło jej w piętnaście lat później, przez traktat karłowicki, powetowanie strat poniesionych za króla Michała, powrót Kamieńca, Podola i Ukrainy.

Przemysł. Cukrownie zapowiadają znaczne podrożenie cukru z powodu nieurodzaju buraków. Wogóle ceny wszystkich produktów żywności wzrastają z przerażającą szybkością.

Koncept, który już nie wart ani grosza. Humorystyczny korespondent *Now. Wremieni* zdradza przed światem tajemnicę, że przyczyną szybkiego rozwoju przemysłowego w Królestwie—jest kontrabanda. Fabryki u nas istnieją „tylko dla oka“ i omylenia czujności akcyzy. Gdzież zenit tego donoszenia?!

Opieka nad małoletnimi. Ponieważ zagranica spostrzegła, że termin naszej pełnoletności ekonomicznej jest jeszcze dalekim i że zawzięcie opieramy się usamowolnieniu, więc stopniowo rozciąga nad nami opiekę. Niedawno wyręczyła nas w zaprowadzeniu tramwajów i telefonów, teraz znowu francuzi chcą nas wytwornie grzebać, a anglicy światłem elektrycznem oświecać. I to podobno tak tanio, że aż dusza rozpływa się w zachwycie.

Teatr. P. Kropiwnicki, należący niegdyś do trupy Miłaszewskiego, utworzył własną i objeżdża z nią prowincye południowo-zachodnie, dając przedstawienia w języku małoruskim. Dotąd używa powodzenia.

Muzeum. We Lwowie z inicyatywy Wł. Dzieduszyckiego ma powstać krajowe muzeum artystyczno-przemysłowe. Zakład ten chce wspierać zarazem wszelkie usiłowania, dążące do rozwoju i ulepszenia przemysłu miejscowego.

Przyszłe wystawy. Projekt wystawy w Maryampolu nie zyskał zatwierdzenia władzy, która wskazała Suwałki jako właściwsze miejsce.

— W Łodzi postanowiono urządzić wystawę miejscowych wyrobów; do współudziału wezwano wszystkich przemysłowców z gubernii piotrowskiej. Otwarcie ma nastąpić 13 b. m.; pośpiech ten spowodowany jest spodziewanem przybyciem w tym dniu generał-gubernatora warszawskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Z. Autor „Kroniki powsz.“ w nrze 257 *Kuryera Warsz.* kwestyi dotyczącej wielowymiarowości przestrzeni całkiem nie rozumie. Czy starożytni gdzie o niej wspominali — nie wiemy.

To tylko pewna, że w czasach nowszych pierwszy Kant zwrócił był na nią uwagę, objaśniając brakiem wymiaru czwartego niemożliwość przystawania do siebie ciał symetrycznych. Przykładem bijącym w oczy ciał takich są ręce: prawa i lewa. Każdy wie, że rękawiczki z ręki prawej nie włoży na lewą i odwrotnie (rozumie się nie wywracając jej). pomimo że wszystkie części składowe obu są sobie równe. Gdyby jednak ręce były płaskie, fakt powyższy nie mógłby mieć miejsca, czyli, że rękawiczkę prawą możnaby włożyć na rękę lewą i nawzajem. Widzimy więc, że przez odjęcie rękom jednego wymiaru, uczynilibyśmy je z symetrycznych — równemi. To samo zrobić by można, nie odejmując jednego wymiaru rękom, ale natomiast dodając go przestrzeni, czem właśnie Kant symetryczność ciał objaśnił. Istnienie zatem czwartego i dalszych wymiarów przestrzeni jest umysłowo możliwe.

Podobnie jak płaszczyzna stanowi tylko część przestrzeni trójwymiarowej, tak znowu ostatnia może być częścia czterowymiarowej. W tem pojmowaniu rzeczy twierdzić wolno, że dwa punkty przestrzeni dają się połączyć linią krzywą, w niej lub *zewnątrz* niej idącą, tak samo zupełnie, jak dwa punkty płaszczyzny. Gdybyśmy zatem znaleźli się wobec faktu *przejścia szklanki na wskróś z wierzchu stołu pod stół*, to dla wytłomaczenia go za pomocą przestrzeni czterowymiarowej musielibyśmy przyjąć, że szklanka opisała drogę, idącą *zewnątrz* przestrzeni od wierzchu stołu pod stół, podczas kiedy obecnym, jako niepojmującym zmysłowo tej *zewnętrzności*, zdawało się tylko, że ona stół na wskróś przebiła. Wówczas sprawca (medyum) podobnego faktu musiałby być istotą czterowymiarową, posiadającą zmysły trójwymiarowej (człowieka), z wyjątkiem woli, która rozciągać by się także powinna i na organy jego, leżące *zewnątrz* przestrzeni. On sam, nie znając nauki o przestrzeni wielowymiarowej, mniemałby niezawodnie, że tylko wolą swoją, a zresztą zupełnie bezwiednie i niemateryalnie fakty podobne urzeczywistnia. Czy takie fakty istnieją w naturze, twierdzić tu tego nie chcemy. Zwracamy tylko uwagę, że każdy myśliciel bezstronny, znalazłszy się wobec czegoś podobnego, powinien, prócz na szalbierstwo medyum, liczyć także i na możliwość, jeżeli ta z rozumem się zgadza, chociażby nawet przekraczała granice zmysłów człowieka.

Również jest nielogicznem przyjęcie gęstości ciała materyalnego za jego wymiar czwarty, a to z tego względu, że gęstość i rozciągłość nie nadają się, jako różnorodne, do mierzenia wspólną jednostką; warunkiem zaś koniecznym istnienia rozciągłości wielowymiarowej jest, jak wiadomo, niezależność jednostki miary od położenia. *Wł. G.*

Kr. w Pet. P. P. „błaznem“ nie był nigdy, ale E. P. był oszustem nieraz. Wtedy już nauczył on się „nie odpowiadać na osobiste zaczepki“—i dobrze zrobił.

P. A. B. w Petersburgu. Dotąd nie ma.

P. G. U. I to nie dla nas.

Studentom z Rygi (rs. 17 k. 75) *b. uczniom gimn warsz.* (rs. 10), *Kłos. z Koziegłów* (k. 50), *Bezimiennemu* (rs. 1). Ofiary panów odeślemy *Tygodn. Ilustr.*

Sprostowanie. Str. 464, sz. 1 w. 19 od góry zamiast zapewniają, czyt. *zapominają.*

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Mańka, Henio, Lolo Regulscy rs. 2. Studenci IV kursu prawa rs. 4 k. 35. Kilku studentów uniw. warsz. rs, 2. Marek Borkowski st. uniwersytetu rs. 2.

Na wpis dla biednych uczniów. Prenumerator rs. 2.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Сентября 1883 г. **Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.**